(...) Cena 1 zł. W Czechosłowacji ... Kč ... Nakł. poczt. opł. gotówką.

# ŚWIATOWID

NR: 4

## BOHATEROM POWSTANIA CZEŚĆ!




*Dnia 22 stycznia mija 69 lat od chwili wybuchu Powstania Styczniowego. Tej nielicznej garstce bohaterów i uczestników tych walk, którzy jeszcze pozostali przy życiu, składa cała Polska wyrazy hołdu i wdzięczności. — Zdjęcie przedstawia ppor. Karola Humowieckiego, liczącego 94 lat, weterana z 1863 roku,*

# W KRAKOWSKIEM SCHRONISKU WETERANÓW Z 1863 R.

*Weterani z 1863 r. mieszkający w schronisku krakowskiem. Siedzą od lewej: Nożyczkowski Jan (lat 94), Gierzyński Artur (lat 85), Nowak Józef (lat 89), Pawłowski Tomasz (lat 92), Morawiecki J. (lat 87), Humowiecki Karol (lat 94) — stoi: Bętkowski Walenty (lat 88, „radjoamator“).* Ag. Fot „Światowida“.

W piękny styczniowy poranek kieruję swe kroki na plac Biskupi w Krakowie, gdzie mieści się schronisko bohaterów z 1863 roku.

Plac położony zdala od zgiełku ulicznego, robi wrażenie, jak gdyby rynku małego, prowincjonalnego miasteczka. Ciszę przerywa miarowo, co 45 minut, dzwonek szkoły powszechnej, która znajduje się w pośrodku placu, poczem po chwili ukazują się rozbawione twarze młodzieży, ażeby rozkoszować się słońcem i powietrzem. Po krótkim czasie drugi dzwonek oznajmia koniec pauzy i znowu plac zalega niezmącona cisza.

Przy tym placu, jak gdyby dla kontrastu z bujnem, roześmianem życiem młodego pokolenia, znajduje się dom, na którym widnieje napis: Schronisko weteranów-powstańców z 1863 r.

Wchodzę na I-sze piętro. Spotykam pierwszą postać zgarbioną, wspartą na lasce. Podchodzę, ażeby pomóc, biorę pod rękę i prowadzę. Sędziwy starzec, którego głowa pokryta jest białym, jak śnieg, włosem — rzecze:

— Dziękuję panu. Tak mi trudno chodzić. To Sybir zrobił i długie lata żywota.

Wchodzimy do sali jadalnej, gdzie kilku staruszków oczekuje mego przybycia. Siedzą zadumani i słuchają dźwięków, płynących przez fale eteru. Radjo nadaje mazurka Szopena. Z zainteresowaniem spoglądam na „radjoamatora“. To porucznik Bętkowski, lat 88. Jest jednak rzeźki, zachował jeszcze w sobie cechy żołnierskich obyczajów. Brał udział w dwunastu bitwach, przeważnie na bagnety — i on i jego pięciu braci, którzy z nim razem wszyscy byli w powstaniu. Dziś on jeden jeszcze został przy życiu.

Zapytuję, jaki odbiór.

— Doskonały — odpowiada. Słuchamy Warszawy, Krakowa, Wilna, Lwowa, Wiednia, Budapesztu i „licho wie“ jakich stacyj. Niestety, tylko ja umiem obchodzić się z radjem. Gdy mnie niema, nikt nie słucha.

Ale praca nagli, trzeba zrobić wspólną fotografję tej garstki ostatnich żołnierzy-powstańców.

Z uśmiechem na ustach pada rozkaz dany przez „radjoamatora“:

— Baczność chłopcy! do fotografji!

Na twarzach obecnych maluje się pewne rozjaśnienie, lecz niestety trudno im rozkaz wykonać. Trzeba każdego z osobna prowadzić pod rękę i na fotel sadowić. Niełatwo bowiem wykonać „rozkaz“, mając lat dziewięćdziesiąt kilka.

Ale i tak pracy z tem sprowadzaniem niewiele. Wszak wszystkich ich zostało przy życiu tylko siedmiu!

Parę minut przygotowań i życzeniu redakcji „Światowida“ staje się zadość. Zdjęcie dokonane.

Jeszcze parę chwil rozmowy, w której jedni opowiadają o pobycie na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu, inni o przebytych znojach. „Radjoamator“ zbliża się do okna, przez które padają strugi słońca, raczej wiosennego, niż zimowego i mówi:

— Piękna, dobra zima. Pamiętam srogie zimy na Sybirze. Ale i u nas w Polsce bywały wielkie śniegi. Trzeba było kopać tunele, aby się dostać ze swego domu do domu sąsiada na wsi. A chaty były niskie, niziutkie... Teraz murowane, wysokie... Dobra zima, bo opału nie trzeba, a dużo ludzi biednych...

I nuci przy tem piosenkę, którą powstańcy śpiewali żołdakom rosyjskim, prowadzącym ich na Sybir.

Pogawędkę przerywa wejście służącej, wnoszącej kompot dla weteranów, jako drugie śniadanie. Podziwiać trzeba cierpliwość i wyrozumiałość, z jaką odnosi się ona do swych stołowników.

Opiekę i staranie o wygody weteranów odczuwa się na każdym kroku. Schronisko jest schludne, pokoje wesołe, łóżka z nienagannie białą pościelą, na ścianach portrety królów polskich i wodzów powstania, oraz zdjęcia fotograficzne pamiątkowe ze wspólnych zjazdów i uroczystości weteranów, na biurkach fotografje rodzinne i odznaczenia wojskowe.

Schronisko mieści się w domu własnym, zakupionym przed 30-tu laty. Utrzymywane jest przez Organizację Weteranów, stojącą pod przewodnictwem płk. Lubicza. Każdy weteran dostaje od Rządu polskiego pensję zł. 125.— miesięcznie, z czego zł. 100.— wpłaca Organizacji, otrzymując za to mieszkanie i pełne utrzymanie wraz z umundurowaniem, zł. 25. zachowuje zaś dla siebie na swoje drobne wydaki osobiste.

Wizyta moja kończy się. Na odchodnem wyciągają się do mnie ręce drżące, które z dumą i wzruszeniem ściskam serdecznie.

**J. Szw.**

# TANCERKI Z WYSPY MIŁOŚCI W PARYŻU.

Na Oceanie Spokojnym rzucona jest jedna wyspa, którą nawet suche podręczniki geograficzne nazywają „rajem“.

Podróżnicy powracający z jej zaczarowanych, słonecznych wybrzeży mówią o niej, że jest perłą w koronie świata, wyspą pieśni i miłości.

Jak perła w błękitnej muszli nieba i morza, kołysana odwiecznym szumem fal, Taiti jest krajem wiecznej wiosny, wiecznej młodości przyrody. Na tle misternie rzeźbionych gór bogactwo podzwrotnikowej roślinności, skąpane w złotych promieniach słońca, rozwija ciemną wstęgę zieleni, przetkaną bielą i purpurą kwiatów, gorącym połyskiem dojrzewających owoców.

W rozgrzanem od słońca powietrzu pachną jaśminy i róże, ciszę przerwie poszum skrzydeł przelatującego, egzotycznego ptaka, lub jakaś pieśń daleka zabrzmi jak tęskne wołanie... I tak w rozmarzeniu płyną słoneczne godziny i cicho padają w wieczność.

Ale jeszcze piękniejsze od dni są — noce. Między niebem i ziemią dzieją się jakieś dziwy! Gwiaździsty strop nieba jest tak nieprawdopodobnie przeźroczy, że zda się idzie w nieskończoność. Morze i ziemia zamieniły się w jakąś błękitną bajkę. Drzewa, domy, każda rzecz wydaje się inna, zaczarowana, z Tysiąca i jednej nocy. Jakieś czary! Upajający jak haszysz urok podzwrotnikowej nocy!

Jakże w dni takie nie kochać, jak w takie noce nie umierać z miłości?...

Ludność tamtejsza łagodna i piękna żyje pieśnią, tańcem i miłością. Dziewczęta mają tam dziwne imiona, np. Apo, co znaczy: Pocałuj mnie! Krucze włosy noszą rozpuszczone i spadające czarną kaskadą na ramiona i plecy. Gibkie ciało jak z bronzu ulane o złotawym połysku zawijają w tkaninę ponsową w wielkie żółte kwiaty. Suknia ta nazywa się „pareo“, niczem nie jest zapięta ani związana. Jednym zręcznym ruchem trzyma się ją mocno obciśniętą przy ciele — jeden ruch wystarczy, żeby opadła.

Mężczyźni są silni i zręczni, umieją śmiertelny cios zadać jednem uderzeniem włóczni, kierować wywrotnymi pirogami. Mają swoją filozofję i swój ideał życiowy. Do lat 40-tu być silnym; kochanym, żyć pełnią życia i radości, w 50-tym stać się mądrym doradcą młodych, a kiedy sześćdziesiątka ubieli skronie i pochyli ku ziemi — być szanowanym i czczonym jak człowiek, który posiadł zagadkę życia i wraca do ziemi, która go zrodziła.

Kobiety o tych poważnych zagadnieniach nie myślą. One lubią stroić włosy w wianki z kwiatów lub korony z muszli, śmiać się, śpiewać, tańczyć przy dźwiękach oszałamiającej muzyki, podobać się, kochać, być kochane...

Z tej wyspy szczęśliwej przybyły trzy jej córy do dalekiego, spowitego w mgły Paryża. Przywiozły z sobą uśmiech radosny, aksamitne spojrzenie ogromnych czarnych oczu i ruch taneczny, jakim idą w życie.

Imiona ich przypominają ojczyznę, może w tem imieniu jest talizman szczęścia, a może Tukua, Tankere i Tenira chcą, żeby wszyscy mówiąc o nich, wspomnieli mile o ich pięknym kraju.

Sympatję Paryża pozyskały sobie odrazu. Stolica świata nazwała je „reines de beaute“. Trzy piękności! Szczęśliwa Taiti, która może sobie na trzy królowe pozwolić.

Teatry paryskie ubiegają się, żeby pozyskać sobie te królewny z bajki. — Tańczyły już one w Empire, obecnie ukażą się na scenie Opery. Ale najpierw Wystawa Kolonjalna gościła je w swem egzotycznem królestwie. Tukua, Tankere i Tenira zapoznały nas z tańcami wyspy miłości na scenie Cite des Informations i Muzeum Kolonjalnego.

A ponieważ pochodzą one z dobrej i szanowanej rodziny z Taiti i otrzymały uropejskie wychowanie, na wielkich zebraniach po odtańczeniu swoich tańców tańczyły w kole zaproszonych gości.

Jakkolwiek królewne piękności lubią swój „pareo“, nie gardzą jednak paryskiemi tualetami. Przyznały mi się nawet w poufnej pogawędce, że je w Paryżu jeżeli nie najwięcej, to na równi z innemi rzeczami interesują magazyny.

Wielki uwodziciel Paryz podbił sobie ich serca...

W. Z.



ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI
(Warszawa).

# RUMBA

## NAJMODNIEJSZY TANIEC KARNAWAŁU.

Ten śliczny taniec sprowadza się — dla mnie osobiście — do rozstrzygnięcia kapitalnego problemu: tańczyć ze zmysłowością, ujawnianą powściągliwie, czy ze zmysłowością jawną?

Próbowałem powściągliwie — nie wychodzi.

— Co tak naokoło mojej osi ustawicznie drepcesz? — obruszyła się na mnie pewnego dnia moja kuzynka, Madzia: — Rumba jest tańcem namiętnym, żywiołowym! Tańcem gorącokrwistego człowieka! Niech ci się wydaje, że jesteś Kreolczykiem. Albo pięknym Mulatem. No, jazda!

Przedzierżgnąłem się momentalnie w pięknego Mulata. Odrazu poszło lepiej. Ale trzebaż pecha, że właśnie w tejsamej chwili weszła do salonu mama Madzi, którą tytułuję „ciocią", bo nasze matki rodziły się z tejsamej Kurdywanowiczówny, tylko z różnych ojców. Ciocia — matka Madzi! — jest bardzo porywcza. Stanęła na progu salonu, jak gromem rażona.

— Sodoma-Gomora! — wybuchnęła. — Co ty, libertynie, z Madźką wyprawiasz? I to w domu rodzicielskim, w obecności przodków?!

Ogarnęło mnie pewne zakłopotanie. W rzeczy samej, na ścianach salonu wisieli, kolejką: pradziad Madzi, stolnik Nowotarski; dziad, senator; wuj, kanonik; stryj, znakomity Mason; wreszcie jej nieboszczyk ojciec, niegdyś podpora „Zielonego Konika"...

Odrazu ze mnie Mulat wyparował, a ciotka tymczasem złapała dysk, który się melodyjnie kręcił i rrryms! — dyskiem o posadzkę. Ostatni przebój sezonu, Rumba „Chlupta-Chlupta", zakrztusiła się spazmatycznie i rozleciała w kawałki. Madzia zaczerwieniła się jak piwonja, ja, przyznm się szczerze, zbladłem jak płótno. A dobra ciocia ujęła się pod boki i zaczęła takie Paternoster, że zjeżdżałem niebawem po poręczy.

* * *

Nazajutrz, na dancingu publicznym, z tancerką publiczną, mogłem sobie przecież pofolgować? Tembardziej, że nauka Madzi mocno zapadła mi w duszę, a tancerka była, niema co ukrywać, ładna.

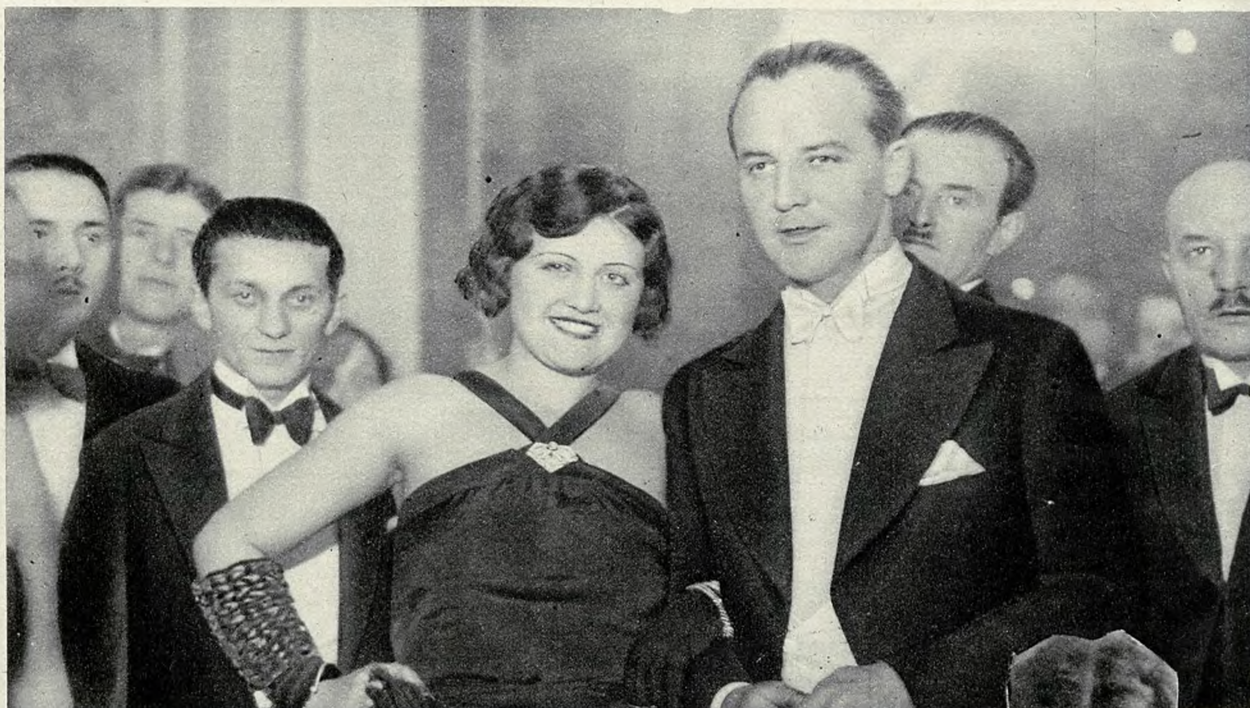
— Pan bardzo dobrze tańczy — powiedziała do mnie ta czarująca osoba po kwadransie Rumby (tańczonej oczywiście, z przerwami, niezbędnemi dla wypoczynku orkiestry). — Ale niech mi pan tak nie ściska klatki piersiowej!

Z tego rewelacyjnego odezwania się fordanserki wywnioskowałem, że tańczę z panienką z lepszych sfer, bardzo inteligentną, zapewne wskutek przejść powojennych wytrąconą z siodła. Rzeczywiście okazało się, że jest córką kaukaskiego księcia i ukończyła VII-oddziałową szkołę powszechną. Więc z jeszcze większym ferworem, tuląc ją do łona, zacząłem się kręcić po skąpym kwadracie linoleum, między stolikami, akcentując coraz wyraźniej owe charakterystyczne, skandowane konwulsje, będące, mojem zdaniem, całym urokiem Rumby, „tańca gorącokrwistego człowieka".

Jakiś, blisko siedzący gość, jak się potem okazało, „zawiany", wlepił we mnie osowiałe oczy:

— Solo! — wrzasnął.

Posłałem mu niebacznie uśmiech, bo myślałem w nagrodę.



Na wszystkich zabawach tańczy się obecnie przedewszystkiem rumbę. — Zdjęcie przedstawia uroczą artystkę p. Stanisławę Karlińską w towarzystwie Igo Syma, na Balu Mody w Warszawie, który odbył się w ub. niedzielę, naturalnie pod znakiem rumby.

A on znowu:

— Solo!

Ja dalej tańczę. Czuję się nawskróś Mulatem. Mam prawie skrzydła. Słyszę, od kilku stolików naraz:

— Sooooolo! Soooolo!

Inne pary usuwają się z kwadratu turniejowego, dancing zaczyna ryczeć, wciąż nic nie rozumiem, dopiero syk mojej damy:

— Niech-że mnie pan puści! Cała sala z pana się śmieje!

To działa na mnie, jak chlust zimnej wody.

Odprowadzam tancerkę do baru, zmiażdżony, wciskam jej ukradkiem w dłoń zmięty 10-złotowy papierek, walę do tego pijanego typa, wściekły, jak szarżujący nosorożec. Staję przed jego stolikiem.

— Co miało znaczyć to pańskie idjotyczne „Solo"? — pytam przez zęby, przygotowany na najgorsze konsekwencje.

A ten mnie łaps! — za szyję, chucha na mnie Martellem, ślini mi oba policzki i bełkoce wzruszony:

— Ferdek, id...joto... jedna! N...nie poznajesz swojego krewnego... Walusia... Z Prosz...szowskiego?

Co miałem robić? Na krewnego jeszcze nigdy ręki nie podniosłem.





Taniec rumba pochodzi z wyspy Kuby, gdzie jest tańczony przez krajowców (na zdjęciu). — Na prawo murzynka udzielająca swojemu synowi nauki rumby.





Więc musiałem z nim usiąść i pić. Przysiadło się potem jeszcze dwu ziemian, sąsiadów Walusia, jakiś doktor filozofji, jeden znajomy adwokat, potem dziewczynki...

I skończyło się już nie pamiętam jak, ale zdaje się bardzo burzliwie, bo obudziłem się nazajutrz na Plantach, w południe, na ławce i usłyszałem, jak młoda dama mówiła do mijających mnie sznurem panienek:

— Nie patrzcie się na wielkomiejskie męty.

Ostatecznie Rumba pozostaje — dla mnie osobiście — w dalszym ciągu problemem: tańczyć ze zmysłowością, ujawnianą powściągliwie — czy ze zmysłowością jawną.

# NASI NARCIARZE I HOKEIŚCI POJECHALI DO LAKE PLACID.

Władną musi być idea olimpijska, skoro w tak niełatwych czasach, jak obecne, ze wszystkich nieledwie krajów Europy i Azji, dążą sportowcy za „Wielki Staw". Jadą więc do krainy wielu rekordów, drapaczów nieba i wielkich pomysłów, a w tym specjalnie roku do kraju X-tej olimpjady, aby oddać tam cześć temu bóstwu.

Przed kilku dniami żegnaliśmy i my także, reprezentantów naszego sportu, wyjeżdżających za ocean na zimowe igrzyska. Nie widzieliśmy cienia lęku przed podróżą, która dla olbrzymiej większości ludzi, pozostać musi w sferze legendy i wielkiej przygody. Wesołek drużyny — Z. Motyka liczy się wprawdzie z tem, że powróci jako okrętowy palacz, ale złowróżebne zapowiedzi — nikomu nie psuły humoru. Obaj bracia Marusarze mają przecież „stryka" w Ameryce, w czem niema nic dziwnego, gdyż — jak wiadomo — Podhalan jest w „Hameryce" nie mało. „Stryk" więc poratuje „swoków", chociaż mieszka w dalekiem Chicago, a nasi chłopcy jadą daleko na północ od Nowego Jorku...

Jest jednak w tem liczeniu na amerykańskiego „stryka" coś więcej, co czuje niewątpliwie cała drużyna. Oto jadą oni do swoich, od tych, którzy ich oczekują, gościnnie przyjmą i zaopiekują się przybyszami. Jeszcze przed niedawnym czasem zdawało się, że nasz sport zimowy nie będzie w Ameryce reprezentowany. Nasz Komitet Olimpijski ma przecież bardzo skromne fundusze, a przed sobą konieczność znacznie większej i kosztowniejszej ekspedycji letniej do Los Angeles. Patrzył więc Komitet Olimpijski stosunkowo niechętnie na zamiary Związków sportów zimowych. Gdy zaś rząd subwencji w większych rozmiarach nie mógł dać, a ofiarność publiczna, wobec innych jej zmartwień, nie mogła przynieść poważniejszego rezultatu — wtedy nic dziwnego, że losy zimowej ekspedycji zawisły na włosku.

Ale wtedy przemówili właśnie „strykowie z Ameryki". Z ofiarnością, która ich stale cechowała, gdy szło o sprawy „starego kraju", wzięli oni na siebie gościnę, całej naszej drużyny na amerykańskiej ziemi. Za ten piękny gest, zasłużyła sobie nasza Polonja amerykańska na wdzięczność, że strony polskiego sportu.

Jadą więc nasi narciarze i hokeiści do Lake Placid, gdzie odbędzie się od 4—13 lutego b. r. zimowa olimpjada. Jest to urocza miejscowość, otoczona wspaniałemi górami, u których stóp, leżą dwa bliźniacze jeziora: Mirror i Placid.

Lake Placid, które stało się w ostatnich latach najważniejszą zimową stacją Ameryki, nie jest pozbawione swoistego zupełnie uroku, amerykańskiego zimowiska. Ulice uzdrowiska, (które jest małem miasteczkiem), zabudowane są pięknemi hotelami, a prawie wszystkie ważniejsze sklepy z słynnej „piątej alei" w Nowym Jorku, mają tu swe filje. Tętni więc w Lake Placid w czasie sezonu, bujne życie sportowego uzdrowiska.

W niedalekiem natomiast sąsiedztwie Lake Placid, rozciągają się rozległe lasy, a na tle wyniosłych jodeł, romantycznie wyglądają stare drewniane domy, takie same, jakie swego czasu, budowali pierwsi koloniści. Zaprzęgi psów, zwane tutaj „huskies", podobne do używanych w Alasce i północnej Kanadzie, przebiegają ulice miasta i pobliskie okolice. Pokazowe wyścigi psich zaprzęgów odbędą się zresztą w ramach olimpijskich zawodów.

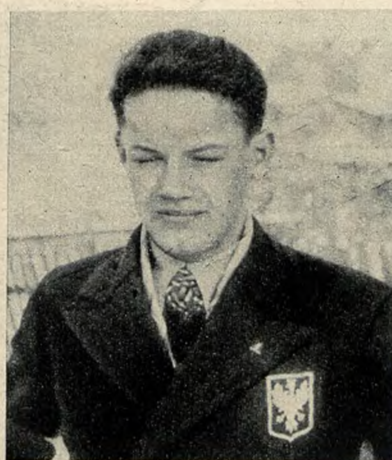
Nawet narciarstwo — nim jeszcze stało się znane przez sport — było podobno w użyciu w tych stronach przed wielu laty. Indjanie, przed wytępieniem ich prawie doszczętnem, używali tego przemyślnego sprzętu śnieżnego w pogoni za jeleniem i w dalekich na północ, wędrówkach.

Na takiej to arenie, którą zresztą Amerykanie, pod względem sportowym, z wielkim rozmachem udoskonalili (wielki, sztuczny tor lodowy, ogromna skocznia narciarska, stadjon, tor bobsleghowy i t. p.), wystąpić mają nasi reprezentanci w najszlachetniejszej imprezie amatorskiego sportu.

Bardzo ciężkie zadanie czeka naszych reprezentantów, gdyż konkurencja jest — jak zawsze na olimpjadzie — silna, a publiczność amerykańska zna się na sporcie i umie cenić sportowe wyniki. Szczególnie trudną będzie rola naszej reprezentacji hokejowej. Będzie ona jedyną drużyną z Europy i zmierzy się z Kanadą oraz Stanami Zjednoczonemi. Oba te kraje, to w hokeju — przesądzone tytuły mistrza i wicemistrza. Są to potęgi sportowe, które dotychczas walczą na równi tylko między sobą i nie ugięły się nigdy, nawet przed reprezentacją całej Europy. Gdyby więc nie to, że nasza drużyna miała obowiązki rewanżu w Kanadzie i Stanach za ich przybycie do Polski, to start naszych hokeistów trudno byłoby uznać za konieczny. Pozostaje więc tylko wydobyć z siebie najwięcej wysiłku i ambicji, aby z beznadziejnego tego spotkania, wynieść opinję drużyny dobrze grającej. Możemy wierzyć, że reprezentanci nasi, potrafią się zdobyć na tén konieczny wysiłek i ambicję.

Drugi dział reprezentowanego przez nas sportu — to narciarstwo. Tu jednak startuje 11 narodów, a wśród nich Skandynawowie, którzy w narciarstwie stanowią klasę dla siebie. Mają oni niedwuznaczny zamiar podzielenie się olimpijskiemi mistrzostwami, a ponadto zagarnięcia wielu cennych „punktowanych" miejsc. O te właśnie miejsca i o najbliższe, potoczy się walka pozostałych narodów z Europy i Ameryki. ł.

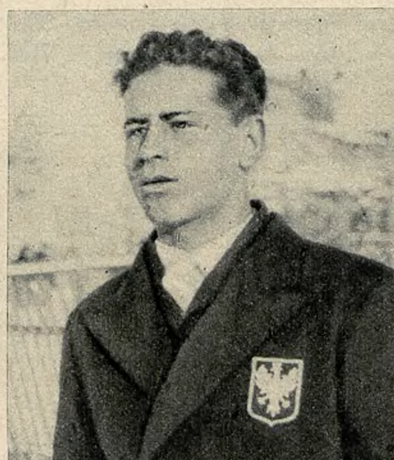




*Andrzej Marusarz, doskonały narciarz polski, groźny zarówno w skokach jak i w biegach.*



*Zdzisław Motyka, najlepszy polski długodystansowiec, znany z narciarskich zawodów międzynarodowych.*



*Stanisław Marusarz, najlepszy obecnie narciarz polski, zwycięzca w skokach i biegach na ostatnich zawodach.*



*Bronisław Czech, bohater Olimpjady w St. Moritz, do dziś dnia zachował świetną formę.*



*Polska drużyna hokejowa, która wyjechała do Ameryki w dniu 11 b. m., aby jako jedyna drużyna europejska reprezentować nasz stary kontynent w Nowym Świecie. Stoją od lewej ku prawej: Nowak, Krygier, Mauer, Ludwiczak, Sokołowski, Marchewczyk, Stogowski, Sachs i Sabiński.*



*Stanisław Skupień, jeden z najlepszych polskich biegaczy narciarskich.*

# WYROK W PROCESIE BRZESKIM.





*Na lewo:*

*Moment odczytywania wyroku przez przewodniczącego Hermanowskiego, którego obecni wysłuchali stojąc.*

*Na prawo:*

*Tłumy publiczności zgromadzone na ul. Miodowej, czekają na ogłoszenie wyroku.*

*W kole na prawo:*

*Przewodniczący Sądu Hermanowski.*

*Obok na prawo:*

*Oskarżony poseł dr. Herman Liebermann — adwokat dr. Berenson zapowiada apelację.*

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWIDA".



*Senator Wojciech Korfanty, b. więzień brzeski (na lewo) i poseł Kwapiński (PPS) oczekiwali przed gmachem Sądu na oskarżonych.*

*W kole: Policja pilnująca porządku przed gmachem Sądu Okręgowego w Warszawie.*

Dnia 9 b. m. został zakończony przewód w procesie brzeskim, po 75-ciu dniach rozprawy. Jako ostatni przemawiał oskarżony Putek w tonie niezwykle zdenerwowanym i namiętnym i dlatego przewodniczący odebrał mu głos, poczem zarządził przerwę 3-dniową aż do 13 stycznia, t. zn. do chwili ogłoszenia wyroku. Trybunał sądzący miał bardzo ciężką pracę, musiał bowiem rozpatrzyć się w olbrzymim materjale, obejmującym zeznania kilkuset świadków, setki protokołów, a ponadto mowy obrońców, prokuratorów i oskarżonych, z których każdy z natury rzeczy wskazywał na inne okoliczności zdaniem jego bądź łagodzące, bądź też obciążające.

Zdania wśród szerokich mas były podzielone.

— Będą z pewnością uwolnieni — mówili jedni.

— Będą skazani — odpowiadali drudzy.

Dość wspomnieć, że skłonni do hazardu Warszawiacy czynili na ten temat grube zakłady.

W ogólnem zdenerwowaniu oczekiwano godziny 12-ej, dnia 13 stycznia.

Naturalnie tylko nieliczni mogli liczyć na otrzymanie biletu wstępu na salę sądową. — Poruszano więc wszystkie możliwe sprężyny, aby te bilety zdobyć, alarmując redakcje, posłów, wyższych urzędników, a nadewszystko sądowników. Sala balowa jednak b. pałacu Paca, w której odbywał się proces brzeski, jest bardzo mała, pomieścić może najwyżej 400 osób.

To też tylko garstka wybranych dostąpiła zaszczytu uczestniczenia w tym historycznym akcie, jakim było odczytanie wyroku.

Już około godz. 10-tej zaczęły gromadzić się tłumy przed gmachem sądu. Przeważali mężczyźni, kobiet zebrało się stosunkowo niewiele. Zwracały uwagę silne posterunki policji zarówno pieszej, jak i konnej, rozsianej po całej ul. Miodowej i sąsiednich.

O godz. 11-tej sala sądowa była już prawie pełna. Woźni, pełniący służbę, kontrolowali jaknajstaranniej bilety, zawracając bez pardonu każdego, kto usiłował przemycić się do wnętrza.

Naturalnie dziennikarze pochłonięci byli tylko jedną myślą, w jaki sposób jaknajprędzej zawiadomić swoje redakcje o wyroku. Zajęto więc wszystkie telefony, starając się utrzymać ciągły kontakt z miastem.

Jako jeden z pierwszych pojawił się oskarżony prezes Witos. Twarz ma może trochę zmęczoną, ale zresztą trzyma się doskonale. Pochylają się przed nim głowy innych oskarżonych, którzy w międzyczasie także nadchodzą. — Witos bowiem trzykrotnie piastował urząd premjera, jest kawalerem Orła Białego, najwyższego odznaczenia, jakiem rozporządza Polska i jest przywódcą i prezesem Polskiego Stronnictwa Ludowego. on też przewodzi w grupie oskarżonych, złożonej z dra Putka, dr. Kiernika, Sawickiego i Bagińskiego.

Najstarszy wiekiem wśród oskarżonych jest poseł dr. Herman Lieberman. Jego śnieżno-biała głowa wydatnie odbija się od ciemnych czupryn posłów Dubois, Mastka i Ciołkosza.

Oskarżony Prager robi wrażenie uczonego, który w skupieniu ducha rozwiązuje trudne problemy filozoficzne i radby trzymać się jaknajdalej od spraw tego świata.

Najcięższą wagę reprezentuje poseł Mastek, który jest jakby przeciwstawieniem filigranowego i drobnego posła Putka.

Najmłodszy wśród oskarżonych jest poseł Ciołkosz, gdyż skończył niedawno dopiero 30 lat.

Jeżeli chodzi o wyznanie, to 9-ciu oskarżonych jest religji rzymsko-katolickiej, jeden mojżeszowej (dr. Lieberman), a jeden bezwyznaniowy (poseł Ciołkosz).

O godz. 12-tej zdenerwowanie dochodzi do szczytu. — Wreszcie o godz. 12 min. 8 rozlega się głos woźnego:

— Proszę wstać, Sąd idzie.

Podrywają się wszyscy z miejsc, śmiertelna cisza zalega salę. Za stołem zajmują miejsca: przewodniczący Hermanowski, po jego lewej stronie sędzia Rykaczewski, a po prawej sędzia Leszczyński. Całkiem na lewo widać obu prokuratorów Grabowskiego i Rauzego.

Sędzia Hermanowski jest widocznie wzruszony.

— W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej — zaczyna on głosem cichym.

Cisza jeszcze bardziej potęguje się, zda się, że słychać bicie serc.

Przewodniczący wymienia kolejno oskarżonych i rodzaj oskarżenia... wreszcie padają mocne słowa: Sąd uznając za nieudowodnioną winę z pr. 101 k. k....

— Więc uwolnieni — słychać szepty na sali.

Twarze oskarżonych i ich obrońców rozjaśniają się.

Ale radość ta przedwczesna.

— ...Uznał ich jednak winnych z pr. 102, czyli spisku, mającego na celu usunięcie rządu przemocą. I skazał: oskarżonego Mastka, Putka i Ciołkosza na trzy lata ciężkiego więzienia, Pragera na dwa lata, posła dra Kiernika na dwa i pół roku, na tyleż dra Hermana Liebermana, zaś prezesa Witosa na półtora roku. Jeden tylko poseł Sawicki został uwolniony od winy i kary.

Wrażenie tego wyroku jest olbrzymie.

Prawie pół godziny trwało odczytywanie motywów wyroku, poczem przewodniczący zapytuje, czy oskarżeni przyjmują wyrok.

W tej chwili podnosi się z ławy obrońców mecenas Berenson i zapowiada apelację w imieniu wszystkich oskarżonych.

Rozprawa jest skończona.

Oskarżonych otacza tłum znajomych. Zaczyna się chaotyczna rozmowa. Tymczasem wyrok przedostał się już na ulicę, budząc najrozmaitsze komentarze.

W chwilę potem druty telegraficzne, telefoniczne i fale radjowe roznoszą go po całym świecie.

Pierwszy akt procesu brzeskiego jest skończony.

Pozostaje jeszcze odwołanie się do Sądu Apelacyjnego i ew. do Sądu Najwyższego.

# DJABŁY, CZARY I STRACHY WILEŃSZCZYZNY I POLESIA.

Wileńszczyzna kraj wielkich łowów. Kraj wielkich puszcz i nieprzekroczonych nogą ludzką bagien-rojstów.

Kraj najbardziej konserwatywny ze wszystkich dzielnic Polski, kraj dziwów zapomnianych, legend niepisanych, zabobonów, czarów i strachów. Targany przez huragany kilku wojen ostatnich, nękany klęskami żywiołowemi, kraj piasku i jałowca, zadumany w poszumie Wilji i zapatrzony w błękity swych jezior, w których przegląda się niebo. Mimo wspaniałych monografij i licznych prac naukowych, niepoznany kraj dziwnych kontrastów.

Gdy nad dworami, plebanjami wznoszą się anteny łonące fale radja, po zaściankach leśnych i wsiach zapomnianych, zamawia się, wywołuje i składa ofiary „siłom nieczystym", w długie godziny zimowych wieczorów na „wieczorynkach" opowiada strachy i dziwy.

Równocześnie w sąsiedztwie genjalnego wynalazku Marconiego, zaklina się djabła, parkotanie traktorów, ryjących pole, nie przeszkadza wierzyć w „gadzinowe leki", nowoczesna broń myśliwska zamawianą zostaje przez znachora, średniowieczną formułką zaklęcia.

Włócząc się po „rojstach", lasach i bezludziach z dubeltówką przez plecy, odwiedzając liczne dwory, spotykałem się z „ambasadorami" djabła, wiodłem długie i wielce dyplomatyczne rozmowy z babami „zielarkami", a niejednokrotnie bywałem świadkiem niezmiernie ciekawych praktyk znachorczych.

Demonologja ludu kresowego nie jest zbyt różnorodna, niemniej jednak niezmiernie ciekawa.

Zależnie od charakteru danej okolicy (zalesiona czy też wybitnie rolnicza) zamieszkują ją djabli do terenu przystosowani. Przestrzenie poleskich błot zamieszkuje djabeł szlachcic Rokita.

Dumny, zadzierżysty, jarmarkowicz zapamiętały, na wzór swego Łęczyckiego „kuzyna" Boruty, opój zawzięty, a nadewszystko i jak zresztą na rodowego arystokratę przystało... kat na płeć piękną.

W roku 1827 zatopił dziewczynę ze wsi Podziemeń, najpierw ją smętnem pieniem w bagna wywiódłszy. Bowiem głos ma bardzo piękny.

Żyda „kramnika" po dworach z zakupami jeżdżącego z wozem i koniem zatopił w moczarach, bowiem jest zapamiętałym antysemitą i żydom winiarzom w Kobryniu i Włodawie piwnice wysusza. Panuje wszechwładnie od Dawidgródka po Brześć.

W Puszczy Zielenickiej i Rudnickiej włada inne indywiduum z czartowskiego repertuaru....

To djabeł-duch.

Zły, o zwierzynę zazdrosny, z drzewostanu ludziom nie dający korzystać.

Djabeł Miszkinis.

Kto on taki i jak wygląda, niewiadomo.

Dość, że jest, bo ludzie mieli dostateczne tego dowody.

Chłopa z Rudnik, co mu słowa nie dotrzymał i ofiary nie złożył, drzewem w lesie przygniótł. Albo taka naprzykład niesamowita historja z kłusownikiem Kuźniukiem. Miał-ci on dubeltówkę pistonową lat trzydzieści z niej w „carskim lesie" bił zwierzynę, aż raz Miszkinisowi ofiary nie dał i flinta, co tyle lat biła, trzasła mu w ręku i palce urwała. Miszkinis jest krwiożerczy. Żąda ofiar od ludzi z nich samych lub części ich ciała. Ludzie „wiedzący" o tem, dają mu w ofierze włosy i zęby wyrwane, omijając w ten sposób djable prawo i zbytnio się nie narażając. Ząb bądź włosy należy umówioną formułką w lesie porzucić, dnia następnego zaś, gdy djabeł porwie należną mu hekatombę, pójść spokojnie po drzewo lub na polowanie.

Mniej nieco krwiożerczym, ale bardziej psotnym jest djabeł Wokietuks. Dowcipniś złośliwy, domy nachodzący, konie kradnący.

W dosłownem tłumaczeniu z litewskiego języka djable to zwie się „niemczyk", a „zagraniczne" swe nazwisko wywodzi zapewne od czasów najazdów rycerzy krzyżowych na wsie litewskie, którzy dobrze dali się ludziom we znaki, pozostawiając po pięciuset latach swego namiestnika — djabła.

Najsympatyczniejszym okazem djabła jest czarcie domowe.

Siwy staruszek, malutki, zapewne krewny mazowieckich skrzatów, niedokuczliwy, chudobą opiekujący się Ajtwaras...

Jowialny ten staruszek, ma wadę nader ludzką, oto lubi niesłychanie podglądać kąpiące się niewiasty i dziewczęta w łaźni.

Będąc tak wybitnym erotomanem, staruszek ten obrał sobie za siedzibę wielkie piece, znajdujące się w specjalnych budynkach łaziebnych, które posiada każda wieś.

Istoty o podobnych upodobaniach zawsze w życiu zejść się muszą.

Tak też było z Ajtwarasem i ze mną.

Będąc kiedyś na polowaniu w gminie Rogowskiej, zaszedłem do wsi, gdziem miał upatrzoną kwaterę.

Cicha zazwyczaj wieś, huczała jak pszczoły na wyroju.

Przed domkiem łaziebnym stała grupka ludzi, żywo rozprawiając i wypytując się o mało ubraną, ale bardzo urodziwą niewiastę... Cóż się tu stało?

Oto niewieście owej, która korzystała z dobrodziejstwa metody kneipowskiej kąpieli, ukazał się w łaźni Ajtwaras.

Docisnąwszy się do urodziwej i zalęknionej kobiety zacząłem indagować. Co? gdzie? jak?

Na wszystko otrzymałem jedyną odpowiedź.

— Iszlipo isz palepies mazuks apsiwizawies — (z pod pieca wylazł maleńki w łapciach). (Po litewsku).

Więcej nic nie mogąc się dowiedzieć, opuściłem zebranych, podziwiając dobry gust djabła.

O djabłach i „siłach nieczystych" nie lubi lud rozpowiadać. — To grzeszno.

Ludzie, który zbyt często nawiedzani bywają od djabła, bywają bojkotowani towarzysko, a z czasem sami nawet za wróżów zostają uważani. Inaczej ma się sprawa z czarami i lecznictwem. Ludzie na czarach i leczeniu się znający, otrzymują wysoki „indygenat", są uważani za mądrych i nader często dzięki swej umiejętności ciągną znaczne zyski.

Wielki znawca ziołolecznictwa na Wileńszczyźnie, prof. Jan Muszyński, posiada niezmiernie ciekawe muzeum środków leczniczych ludowych. Boże! Czego tam niema. Żmije, jaszczurki, korzenie, korzonki, kwiaty i zioła. Zadawanie ich nie ogranicza się jedynie do przepisanej dosis danego leku. — Nie.

Towarzyszy temu zazwyczaj cały ceremonjał zaklęć, splunięć, okadzania i kreślenia jakichś znaków święconą kredą. Opowiadał mi jeden stary „dziadulko", na lekach się znający — jak to on swego syna „gadzinowym jadem" kurował.

Chłopakowi była ręka „napuchłszy", ot tak zwyczajnie, od „ćwieka co go wbił w rękę".

Rada w radę i trzeba mu było „gadzinowego jadu" (jad żmiji) „poddać". — Złowiono zatem żmiję (koniecznie w maju) i kazano chłopcu podać rękę do pokąsania.

— No i co — pytam — wyzdrowiał?

— W tem cała rzecz, co nie — umarł od ukąszenia — Boże uchowaj — od ukąszenia, tylko co choroba za prędko go w tą porę odeszła. — Nie zawsze jednak tak tragicznie kończy się kuracja. Pacjent karmiony zielem o nader łagodnem działaniu od leku nie umiera, a organizm, przezwyciężywszy chorobę, zdrowieje.

Specjalnym resortem zjaw nadprzyrodzonych jest resort strachów.

Pełno ich wszędzie. Po dworach, po świronach, na „mogiłach szwedzkich". Straszą portrety, komory całe, opuszczone młyny i uroczyska.

Siedzibą strachów jest majątek Zubiszki w powiecie Lidzkim, własność p. Jerzego Kuncewicza. Goszczony z ojcowską serdecznością, nieraz zajeżdżałem pod śliczne białe filarki dworu.

W samym dworze straszy Justynka. Ongiś piastunka obecnego dziedzica, która przeżywszy lat blisko setkę w Zubiszkach, nie może i po śmierci się rozstać i co nocy z pól Elizejskich do dworu zachodzi. Musiało jej być tam dobrze z tym „paniczem", w cieniu tych lip odwiecznych nad oczeretem zarosłem jeziorem.

Justynka, jak na starą i pewną siebie gospodynię przystało, zachowuje się z całą pewnością siebie.

Trzaska drzwiami, kręci korbą centryfugi, puka obcasami po podłodze w salonie — na grobli w Zubiszkach jest stary, opuszczony młyn, w którym naturalnie coś straszy. Arendował go młynarz, który systematycznie czynszu nie płacił, systematycznie pił wódkę i bijał żonę i który, jak na systematycznego człowieka nie przystało, powiesił się na belce w młynie. A teraz straszy. I bądź tu systematycznym!!

**Feliks Dangel (Wilno).**



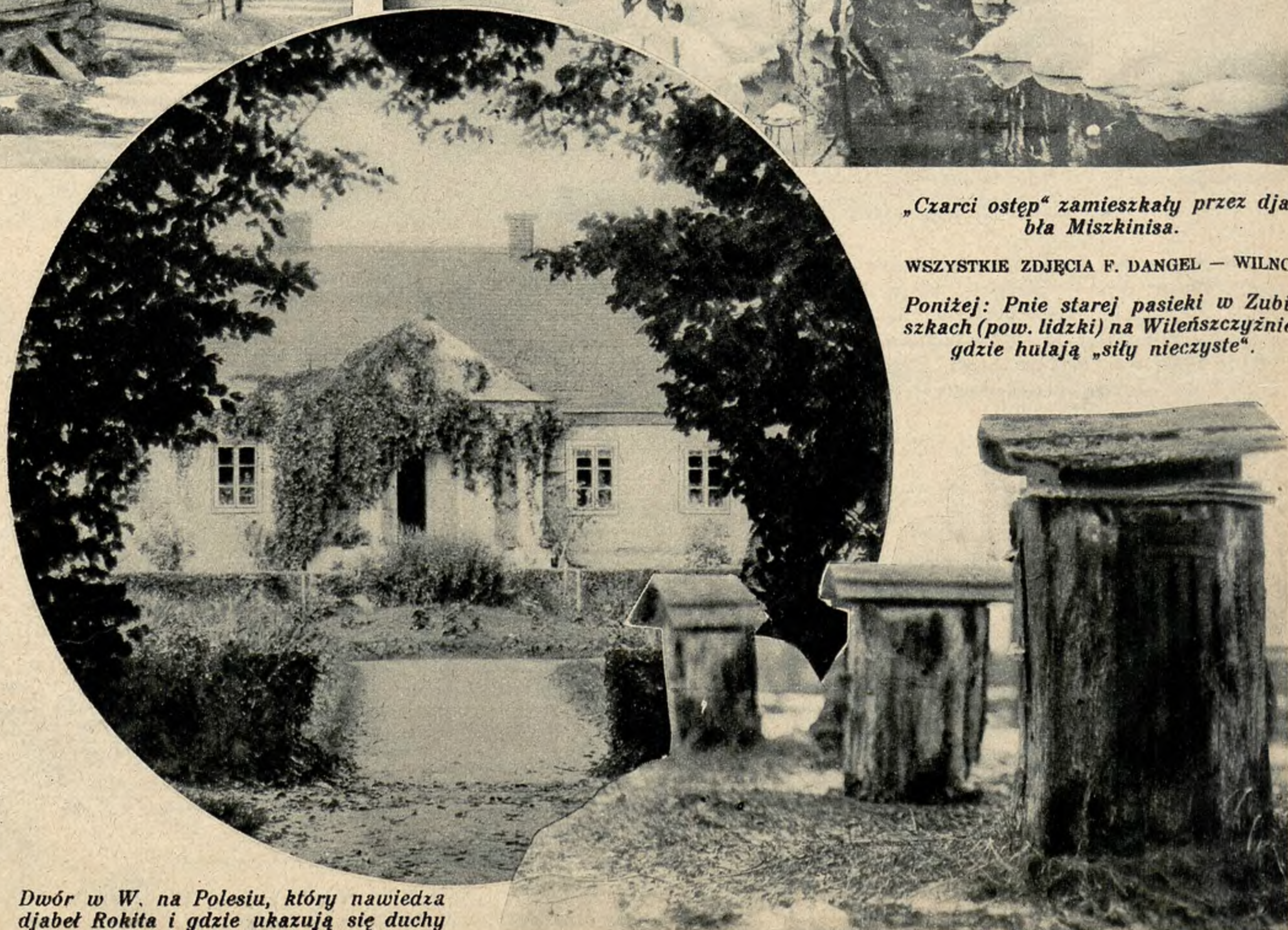
*Stary opuszczony młyn w Zubiszkach, gdzie ukazuje się duch młynarza.*



*„Czarci ostęp" zamieszkały przez djabła Miszkinisa.*

WSZYSTKIE ZDJĘCIA F. DANGEL — WILNO.

*Poniżej: Pnie starej pasieki w Zubiszkach (pow. lidzki) na Wileńszczyźnie gdzie hulają „siły nieczyste".*



*Dwór w W. na Polesiu, który nawiedza djabeł Rokita i gdzie ukazują się duchy w kominie.*

# WYSTAWA ZWIĄZKU PLASTYKÓW POMORSKICH W MUZEUM MIEJSKIEM W BYDGOSZCZY.

Wystawa Związku Plastyków Pomorskich w Muzeum Miejskiem w Bydgoszczy, otwarta niedawno temu, świadczy wymownie o tem, że Bydgoszcz jest bardzo poważnym ośrodkiem kulturalnym, i że znaczenie jej nie ogranicza się do zdarzenia lokalnego, lecz przedstawia wartości ogólne i to dość wysokiej klasy.

Wśród artystów bydgoskich niezwykle wartości reprezentuje znany ze swoich sukcesów na jednej z ostatnich wystaw paryskich, dekorator Teatru Miejskiego Feliks Krassowski. Jest to malarz myślący i znajdujący zawsze własne drogi, na których osiąga pierwszorzędne wyniki. Jego pejzaże i świetne portrety odznaczają się dobrym rysunkiem i ciekawemi efektami kolorystycznemi. Równie doskonała jest jego technika olejna. Ciekawie rozwinięte malarstwo „Dziecko", „Las w Smukale", „Las na wzgórzu", „Babia Wieś w śniegu", portret córeczki jego „Danusia" — wyróżniają się może najwięcej z pośród licznych i na równie wysokim poziomie stojących dzieł.

Piotr Chmura wystawił szereg portretów i pejzaży przemyślanych i technicznie bardzo dobrych. Pejzaże jego znamionuje ciekawe i głębokie podejście do tematu. Szczególnie podoba się obraz olejny „Droga". Portrety córek literata Grudzińskiego stawiają tego malarza w rzędzie pierwszorzędnych portrecistów.

Marjan Faszyński wystawił również piękny olejny „Portret syna". Wyróżnia się on przedewszystkiem pięknie oddanemi „Kwiatami".

Obraz olejny „Toruń" świadczy o dobrej monachijskiej szkole Leona Drapiewskiego. U Biedowicza odbijają się wpływy Pankiewicza.

Jerzy Rupniewski jest znany w całej Polsce jako akwarelista. Na wystawie bydgoskiej, poza licznemi jego pejzażami i motywami architektonicznemi, wyróżnia się przedewszystkiem głęboki w tonie „Chrystus na krzyżu". Z pośród obrazów dr. Szmaja, odznaczającego się śmiałością i rozmachem w rysunku, wyróżniają się węglowy rysunek „Klarysek" oraz „Głowa I."

Marjan Kujawa, znajdujący się wyraźnie pod wpływem Rupniewskiego, osiąga już bardzo ciekawe rezultaty.

Z artystów, którzy jako goście z poza Związku biorą udział w wystawie, wymienić należy Aleksandra Augustynowicza z Poznania, reprezentowanego przez 5 obrazów, znanego w całej Polsce marynistę Marjana Mokwę z Sopotu, z którego dzieł wyróżnia się piękna akwarela „Dar Pomorza", wreszcie Teresę Popielską, której „Marynarz" odznacza się doskonałym rysunkiem.

Uzupełniają wystawę w dziale malarstwa Fr. Gajewski, W. Gromek, Z. Myszkorowski i M. Skowroński.

Grafikę reprezentują dwaj wybitni artyści, prof. Karol Mondral i Stanisław Brzęczkowski z Gdańska.

Rzeźba znalazła ciekawych przedstawicieli w młodym bydgoszczaninie Teodorze Gajewskim, którego „Rok 1914" wyróżnia się silną ekspresją, i Piotrze Trieblerze („św. Barbara" i „Pomorzanin").

**A. Schedlin Czarliński.**



*LEON DRAPIEWSKI: „Toruń".*



*PIOTR TRIEBLER: „Pomorzanin".*



*MARJAN FASZYŃSKI: „Portret syna".*



*TEODOR GAJEWSKI: „Rok 1914".*



*JAN CHMURA: „Droga".*



*FELIKS KRASSOWSKI: „Las w Smukale".*

# REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



**WYSTAWA KOTÓW W BERLINIE.** Na otwartej świeżo w Berlinie wystawie kotów powszechną sensację budzi rasowy „Mruczek", który drzemie sobie w klatce pełnej ptaszków i myszy, nie czyniąc im żadnej krzywdy (na zdjęciu). Nie potrzeba dodawać, że trzeba było długiego czasu, aby kotka tego oduczyć krwiożerczych instynktów i zrobić z niego typ modnego dzisiaj pacyfistę.

The New York Times.




**BEZROBOCIE WE FRANCJI.** Ostatnim szańcem dobrobytu w Europie była jeszcze do niedawna Francja, która nie poddawała się panującemu w całym świecie kryzysowi i nie wykazywała prawie żadnego bezrobocia. Obecnie zaczyna się psuć i w tej oazie szczęśliwości. Francja bowiem straciwszy rynki angielskie wskutek spadku funta, musiała ograniczyć swoją produkcję, dzięki czemu około 200 tys. ludzi znalazło się bez pracy. — Zdjęcie nasze przedstawia bezrobotnych w Paryżu, czekających na wydanie bezpłatnego posiłku.

Poniżej:

**Z FRONTU MANDŻUSKIEGO.** Japończycy ukończyli już zajmowanie całej Mandżurji, nie natrafiając prawie nigdzie na większy opór zdemoralizowanej i niezdolnej do akcji zaczepnej armji chińskiej. Zresztą panujące ostre mrozy utrudniają wszelkie operacje wojene. Ludność cywilna pogodziła się już z nowymi włacami, którzy, jak to zwykle bywa na wojnie, nie szczędzą jej najrozmaitszych szykan w postaci przepustek i rewizyj.

The New York Times.





**NASTĘPCA TRONU RUMUŃSKIEGO PRZY KIEROWNICY.** Na zamku w Sinaia, znajdującym się w okolicy górzystej i posiadającej bardzo dobre tereny narciarskie i saneczkowe, gości obecnie następca tronu rumuńskiego, młodociany Michał, oraz jego stryjenka Ileana, żona arcyksięcia Antoniego Habsburga. Trójka ta zapamiętale uprawia saneczkowanie, nie bojąc się powierzać steru Michasiowi, który podobno doskonale spisuje się na torze.



**POLSKI ZAPAŚNIK NA DRODZE DO MISTRZOSTWA ŚWIATA.** Zapasy w stylu wolnoamerykańskim są ulubionym sportem publiczności za oceanem. Występy słynnych atletów gromadzą zawsze tysiące widzów. Między innymi wiele laurów zbiera na ziemi amerykańskiej polski zapaśnik Karol Nowina Szczerbiński, siostrzeniec słynnych braci Cyganiewiczów. Walczy on pod pseudonimem „Zbyszko III" i osiągnął już szereg sukcesów, tak, że obecnie uważają go za najpoważniejszego kandydata do tytułu mistrza świata w kategorji „heawyweight". „Zbyszko III" korzystając z pomocy i rad swych słynnych wujów, kontynuuje obecnie swój trening przed poważnymi zawodami, które go czekają w niedalekiej przyszłości, przyczyniając się w ten sposób wydatnie do propagandy polskości w Nowym Świecie. Zdjęcie nasze przedstawia fragment z treningu tego obiecującego zapaśnika. Zbyszko III pokonuje właśnie ostatni opór przygodnego przeciwnika treningowego, t. zw. sparringpartnera.

**BAJECZNA KARJERA HILDY HOLOWSKY.** Mistrzostwo Austrji w sztucznej jeździe na lodzie zdobyła piętnastoletnia Hilda Holowsky, bijąc p. Burger. Holowsky bawiła w ubiegłym roku w Zakopanem i Krynicy i wzbudzała podziw swoją fenomenalną techniką. Znawcy uważają, że jest to jedyna konkurentka, która kiedyś zmierzyć się może z mistrzynią świata Sonią Henie.

# DOLINA CHOCHOŁOWSKA.

Turyści, którzy w zimie odwiedzają Tatry, kierują się zazwyczaj w Tatry wschodnie, zapominając zupełnie o Tatrach zachodnich. I nie mają w tem racji. Tatry bowiem zachodnie posiadają w zimie niejednokrotnie więcej uroku, aniżeli przeludnione stoki Tatr wschodnich. W dolinach Tatr zachodnich czeka turystę-narciarza spokój i cisza, jakich trudno zaznać na gwarnych Kalatówkach, czy Hali Gąsienicowej, zasianej dosłownie w dni niedzielne czarnemi punktami ludzkiemi.

Ta samotność stanowi największy może czar Tatr zachodnich. Ale jest i drugi jeszcze urok otwarty przed narciarzem: piękne zjazdy narciarskie, które ogólnie biorąc, są dłuższe, aniżeli nagłe i krótkie zjazdy w Tatrach Wysokich. Czy to będzie zjazd z Pysznej, czy z przełęczy Tomanowej, z Bystrej, Kamienistej lub z Gubałówki w stronę Dzianisza i Witowa — wszędzie tam znajdzie narciarz nie idący oklepanemi drogami przepyszne warunki i długi rozmach połogiego zbocza.

W tym zespole piękności Tatr zachodnich prym przyznać chyba należy dolinie Chochołowskiej. Nie brak turystów, którzy wolą zaciszną dolinę Chochołowską od bardzo popularnego szlaku doliny Kościeliskiej. Dzięki dłuższemu dojazdowi dolina Chochołowska ściąga nieporównanie mniejszy procent wycieczkowiczów, aniżeli Kościeliska. Dopiero ostatnio zaczęła dolina Chochołowska, której nazwa pochodzi od znanej z powstania w 1846 r. wsi Chochołowa, zabiegać o swoje spopularyzowanie. Przyczyni się do tego walnie zbudowanie schroniska narciarskiego w dolinie Chochołowskiej. Schronisko to otwiera przed narciarzami wspaniałe szlaki, wychodzące z długiego węża doliny Chochołowskiej.

Wśród wapiennych skał, wypiętrzonych w fantastyczne kominy, podobne w budowie do kominów w dolinach Strążyskiej, czy w dolinie Białego, ciągnie się dolina Chochołowska, roztwierając się od czasu do czasu w obszerniejsze polany i hale, na których osiadły grupy szałasów. Szum potoku towarzyszy nam w drodze poprzez czarowną dolinę, zamkniętą konturami szczytu Staro-robociańskiego, Jarząbczego, Kończystej i pokręconą linją kominów Tylkowych. Ale pamiętać musimy, że cisza, która zalega dzisiaj dolinę Chochołowską jest, że tak powiemy, późniejszego pochodzenia. — W dawnych wiekach rozbrzmiewały tutaj okrzyki górników, którzy wieźli rudę ze sztolni w dolinie Staro-robociańskiej i od strony Ornaku. Dzisiaj w dolinie panuje cisza, a stare sztolnie zasypano kamieniami. O dawnych tradycjach wie dziś niewielu turystów.

Z doliny Chochołowskiej, jak to już powiedzieliśmy, prowadzi pęk znakomitych szlaków narciarskich. A więc zjazdy ze szczytu Staro-robociańskiego i Trzydniowiańskiego, dalej szlaki idące w stronę przełęczy Iwaniackiej. Od doliny Chochołowskiej możemy przebierać się dalej, ku dolinie Lejowej, ku Wołowcowi, Rakoniom, Stawom Jamnickim, lub ku potężnym Rohaczom, których granitowe zręby robią dziwne wrażenie w tym świecie wapiennym. Pustkowia Tatr zachodnich odsłaniają się w czasie takich wypraw w całej swojej grozie i wspaniałości. Nie brak tu zresztą szlaków miłych, łatwych, szlaków pełnych słońca — jak szlak wiodący ku Osobistej po wielkich łąkach, nad któremi w lecie unoszą się tłumy motyli, a w zimie porywa się puszysty i krystaliczny śnieg.

Jeszcze niedawno, wyprawy zimowe w Tatry zachodnie ograniczały się do jednodniowych wypadów, przy których trzeba było sankami dojechać do wylotu doliny Chochołowskiej, a stamtąd wyruszyć w stronę Wołowca, czy ku Ornakowi. Dzisiaj, dzięki stworzeniu schroniska narciarskiego w dolinie Chochołowskiej dano narciarzom rodzaj bazy operacyjnej, z której będą mogli wyprawiać się na całodniowe „wyrypy", ażeby pod wieczór wrócić do drewnianego domu w dolinie Chochołowskiej, który zachował w sobie nieporównaną prostotę i zapach prawdziwie górskiego schroniska.

W dolinie Chochołowskiej, jak i w pobliskiej dolinie Kościeliskiej zachowały się jeszcze pamiątki starych czasów góralskich w formie kapliczek zbójnickich, w których widnieją wizerunki Matki Boskiej z Ludzimierza, albo Pana Jezusa Frasobliwego. Przypominają one czasy, kiedy dolinami tatrzańskiemi ciągnęli od strony orawskiej „harnasie", wyprawiający się „na zbój". Ostatnim zbójnikiem tatrzańskim, co to jeszcze za swojej młodości chodził z flintą „poza bucki", był głośny Sabała — Homer Podhala. On to przekazał w swoich opowiadaniach cały czar starego świata góralskiego, który umiera dzisiaj bezpowrotnie. I o tych właśnie dawnych czasach, pełnych barwy i rozmachu, mówią nam wzruszające w swojej prostocie kapliczki w dolinach Tatr zachodnich.

*Zbigniew Grabowski.*

*W głębi doliny Chochołowskiej.*

*Gewont z drogi do doliny Chochołowskiej.*







*Efektowny skok narciarski w terenie.*
*Na lewo: Nad potokiem w dolinie Chochołowskiej.*
*U góry: Pomnik Sabały w Zakopanem, okryty śniegiem.*

WSZYSTKIE ZDJĘCIA Dr. A. WIECZOREK, ZAKOPANE

# Z TEATRÓW ŁÓDZKICH.



P. Janina Macherska w wesołej komedji Jerome'a p. t. „Miss Hobbs“.



*Łódź,* w styczniu.

Nowy sezon w teatrach miejskich zaczynał się pod niepomyślnemi auspiacjami: ogólny kryzys teatralny, katastrofalny stan gospodarczy Łodzi oraz potężne okrojenie subwencyj miejskich nie wróżyły nic dobrego. Jednakże czas okazał, że pesymizm ten był zgoła nieuzasadniony. I podczas gdy szereg teatrów polskich walczy z wielkiemi trudnościami, z trudem broniąc się przed rozsypaniem — łódzkie teatry: Miejski i Kameralny, prosperują doskonale.

Na stan ten złożyły się trzy czynniki: doskonała kalkulacja budżetowa, mocny zespół artystyczny i dobry repertuar.

Należy z uznaniem podkreślić działalność kierownika administracyjnego Tadeusza Krotkego, który zmontował budżet na podstawach realnych i zdrowych, co gwarantuje przy średniej nawet frekwencji personalowi teatralnemu pełne 100% gaży. Ta oszczędność, jako hasło finansowe teatrów łódzkich, powinn być przykładem i dla wielu innych scen polskich, które zbyt rozdęty budżet rozprowadzał niejednokrotnie do niewypłacalności...

Prasa miejscowa podkreśla z uznaniem wysoki poziom artystyczny każdej sztuki, granej bądź to na deskach teatru miejskiego, czy kameralnego. Zasługa to długoletniego reżysera teatrów warszawskich a obecnie kierownika artystycznego łódzkich teatrów — Karola Borowskiego, który swoją inwencją artystyczną i talentem organizacyjnym nawet ze słabszego zespołu aniżeli ten, którym rozporządza, wyciągnąłby maksimum efektu. A co dopiero, jeśli wśród artystów łódzkich spotykamy takie nazwiska, jak: ulubieniec Łodzi, Michał Znicz, Marja Dąbrowska, Zofja Grabowska, Irena Horecka, Janina Macherska, Dunajewska,, Jadwiga Kosocka, Tadeusz Białoszczyński, Fr. Brodniewicz, St. Grolicki, T. Kroske, K. Szubert, M. Lenk, J. Winawer, J. Woskowski, Z. Ziembiński i wielu innych.

Mając taki zespół, można odważyć się na najbardziej kolorowy i różnorodny repertuar.

Obok sztuk polskich T. Rittnera „Wilki w nocy“, arcydzieła Fredrowskiego „Pana Geldhaba“, dalej Szekspirowskiego „Co chcecie“ — wystawiono szereg sztuk o charakterze społecznym, ażeby przytoczyć tylko fascynujące „Śledztwo“, „Święty gaj“, satyryczną komedję Flersa i Caillavetta, oraz rewelacyjną: „Sprawę Dreyfusa“.

Teatr łódzki, który za czasów dyrektury B. Gorczyńskiego nie był tylko dalekiem echem repertuaru społecznego, i teraz również utrzymuje swoją chlubną tradycję. Po raz pierwszy w Polsce wystawiono tu osnute na tle życia inteligencji w Rosji sowieckiej barwną, silnie dramatyczną sztukę Bułhakowa „Mieszkanie Zojki“, a dyrekcja zapowiada jeszcze szereg nowych ciekawych premjer.

O tem, że społeczeństwo łódzkie ocenia wysiłki nowego kierownictwa i że tłumnie garnie się do teatrów, świadczy fakt po raz pierwszy notowany w kronikach Łodzi: Oto arcywesoła detektywistyczna sztuka Hoodgesa i Percivala „Hau-Hau“ osiągnie wkrótce rekordowy jubileusz setnego przedstawienia. Nawiasem należy zaznaczyć, że zupełnie zresztą przeciętna sztuka ta zawdzięcza swój sukces świetnej kreacji, jaką stworzył w niej Michał Znicz, który od sezregu lat wysunął się na czoło łódzkiego zespołu.

Z frontów teatrów polskich dochodzą nas przykre wiadomości. Nie mniej teatry łódzkie, które dzięki pięknym wysiłkom swego zespołu i kierownictwa zdobyły sobie pełnię zaufania publicznego, patrzą spokojnie w przyszłość: wytrwają szczęśliwie do końca sezonu. A dla życia kulturalnego Łodzi, miasta kilku języków i kultur, istnienie dobrego teatru polskiego nie powinno być rzeczą obojętną...

*Mieczysław Jagoszewski.*



**Powyżej:** P. Irena Horecka i utalentowany syn Józefa Węgrzyna, Mieczysław w dramatycznej sztuce Bułhakowa p. t. „Mieszkanie Zojki“.

**Na lewo:** Sympatyczna para pp. Jadwiga Kossocka i Tadeusz Białoszczyński odniosła wielki sukces w sztuce p. t. „Sprawa Dreyfussa“.

# Sto wierzb

## Obrazek z roku 1863

### Eustachy Czekalski

Graf Ignatji Łanskoj, huzar Jego Imperatorskiej Mości, tańczy na balu w Petersburgu z panną Anią, daleką kuzynką hrabiny z Białej Cerkwi. Jak wdzięcznie w kadrillu robiła pas. Jak zgrabnie nóżką rysowała na parkiecie reweransy! Graf Łanskoj poprosił ją jeszcze o mazura.

Panna Ania tańczyła, jak gracja.

I piękna była jak sen.

W otoku białych muślinów czarna jej główka, o dużych, wyrazistych, piwnych oczach promieniowała światłem czarnodziejskiem.

Chciał ją zatrzymać i do lansjera...

Uśmiechnęła się, pokazała równe zęby, i przeprosiła:

— Trop fatiguee!

Odprowadził danserkę do starej hrabiny. Z daleka śledził każdy ruch panny Ani.

Siwiutka dama politycznie przymawiała:

— Gładki kawaler z tego Łanskoja...

— Nie zauważyłam — wymijała odpowiedź Ania.

— To mu się przyjrzyj.

— Nie lubię takich oczu.

— Jakich? Oczy niebieskie są piękne... — tłomaczyła hrabina.

— Jego oczy są bezbarwne. Robią wrażenie, że są pozbawione tęczówek...

Graf Ignatji Łanskoj, rotmistrz huzarów Jego Imperatorskiej Mości, w miesiąc później wybrał się do Ostrołęki. Cztery dobrane, kosztowne kłusaki niosły go do Godlewa, majątku rodziców pięknej Ani.

Śnieg był kopny, mróz trzeszczał na dworze, sanki mknęły, jak szalone. Między Narwią a Bugiem już ukazały się pierwsze zwiastuny wojny. Lasy kurpiowskie były wygodnem schroniskiem dla powstańców.

Partyzantkę prowadził tu pan Feliks Bogucki, szlachcic bitny i urodziwy. Chłop był, jak sosna, wysoki, szczupły, zgrabny. Mały wąsik wił mu się nad wiśniowemi, soczystemi wargami. Okoliczne panny dużyły się w nim na zabój, on jednak jednej tylko oddał serce...

Graf Ignatij Łanskoj zajecał do Godlewa w złą godzinę. Chciał złożyć komplimenta rodzicom i pannie. Nie dopuszczono go nawet do głosu, a panna nie przyszła do kantorku.

Stary pan Godlewski nie uważał, że należy grafa Łanskoje prosić na pokoje.

Rotmistrz Jego Imperatorskiej Mości pognał swoje kłusaki do Warszawy. Upił się ze zmartwienia i złości. Postanowił zemstę. — Nie wiedział jeszcze, że serce jego ponad zemstę wyniesie miłość!

* * *

Koniec był karnawału, gdy proboszcz bogutowski w kościele godlewskim po wojskowemu, krótko, węzłowato dał ślub pannie Ani i Feliksowi Boguckiemu. O weselu nie mogło być mowy! W puszczy kurpiowskiej działy się dziwy, wytęsknione przez jego ojca, zaprzysiężone w haśle Łukasińskiego. „Wszystko i nic"!

Partyzant zwiózł młodą żonkę do swoich Bogut nad Bugiem.

Dwór stał na wzniesieniu. Widać go było z traktu. Boczna droga o stu wierzbach wiodła do wrót parku, a stąd otwierały się podwoje modrzewiowych ścian. Z okien, z ganku widać było kręty Bug i łąki prawobrzeżne, niskie, zalane śniegiem.

Rotmistrz Jego Imperatorskiej Mości, graf Ignatji Łanskoj dostał pułk kozaków i pojechał gromić „buntowszczyków".

Krążył po ziemi: mławskiej, ostrołęckiej. W puszczę kurpiowską nie zapuszczał się głęboko: ofiar nie podobna było uniknąć. Z za drzew powstańcy smalili do moskali, jak do kuropatw. Z chłopami policja nie mogła się tu porozumieć. Kurp tak samo tępił kozaków, jak i partyzanci. Chętnie wstępował do oddziału Feliksa Boguckiego.

Na okolicę szła jego sława, jako niezwyciężonego.

* * *

Przyszła wiosna w krasie zieleni i śpiewie ptaków.

Graf Łanskoj postanowił zgnieść „szajkę buntowszczyków".

Dowiedział się od szpiegów, że „gławar" przekrada się do młodej żony do Bogut.

Wysłał secinę kozaków i rozkazał zająć dwór. Medytował:

— Wpadnie w zasadzkę sokół. A jak nie wpadnie — zasięgnie się języka.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Z pastwisk powracały krowy, owce. Moskale rozsypali się pierścieniem naokoło parku i wtargnęli do dworu.

Poza służbą mężczyzn było niewielu. Stary pan Bogucki, ojciec Feliksa, sparaliżowany, nie podnosił się z fotela. Przetaczano go do okien: patrzył za Bug, to znów na trakt, znużony chorobą, obojętny prawie na wszystko, co się działo wokół, wyglądający godziny swojej śmierci.

Kozacy zażądali paszy dla koni i jedzenia dla siebie. Przemyszkowali przez pokoje i wrócili na podwórze. Dopytywali się ludzi o pana Feliksa, lecz nie otrzymali żadnej odpowiedzi. W piwnicy udało się im natomiast znaleźć kilka beczek okowity.

Podpili sobie siarczyście. Wstąpiła w nich ochota zasięgnięcia języka o „buntowszczyku".

Archipka, unter, poddał myśl:

— Nado baby pociągnąć za język! Powiedzą!

— Ale jakie baby? ot sztuka, dopowiedział piewun — zapiewało morda — ty, czerwony kozak...

— Wiadomo, weźmiemy baby ze dworu...

Zapili jeszcze tą myśl, zagryźli słoniną i razowcem.

Obstawili dwór i wyciągali służącą za służącą.

Wszystkie odpowiadały jednako: nie wiedzą!

Kucharka Antoniowa biadoliła:

— A skąd mamy to wiedziećć? Chyba tylko jego żonka posiada takie wiadomości.



— Żonka buntowszczyka... powiadasz... — Ucieszył się Archipka.

— Weźmiemy żonkę... skomenderował.

Majowa, ciepła noc była na dworze. Z za Bugu przychodziły odurzające łąkowe zapachy.

Zwlekli Anię z łóżka i w nocnym stroju, w samej prawie koszulinie wygnali przed dwór. Archipka badał:

— Skaży pani, gdzie twój muż?

— Nie wiem... — cicho odpowiedziała, drżąca i wystraszona.

— Ty nie wiesz? Nu, nu! Nie kłam. Jak nie powiesz po — dobremu, to nahajka wydostanie z ciebie tę wiadomość... — straszył.

— Jak śmiesz tak przemawiać do mnie!... — uniosła się Ania.

— Nie rugajsia pani a skaży!... — groził kozak...

— Nic nie wiem! kto wam dał prawo zajeżdżać mi dwór! wynosić się zaraz. I okowitę skradliście, złodzieje... — wołała.

— Kto złodzieje? My kozaki Jego Imperatorskiego Wieliczestwa!

Wódka nasza po wojennemu prawu. Ty podumaj z kim mówisz! Ja uriadnik terskich kozaków...

— Ubirajsia won!... — krzyczała rozgniewana.

— Tak nie skażesz, gdzie twój muż!... — z błyskami w oczach syczał Archipka.

— Nie!... — odrzuciła zła...

Archipka wydał komendę:

— Biery jejo. Wysieczem — skażet...

Chwycili Anię i na oczach całego dworu rozpoczęli bić. Z górnego okna dworu padł strzał. To stary pan Bogucki sparaliżowany i nie mogący się ruszać przychodził z pomocą synowej.

Strzał ten umitygował cokolwiek kozaków: nie spostrzegli skąd pochodził.

Puścili Anię posiniaczoną, w jednej koszulinie.

Archipka natychmiast zarządził przeszukanie parku, a na osłodę sobie powiedział:

— Wysieczemy jeszcze raz — skażet!...

Przy stajniach osuszano już drugą beczkę okowity. Pijani kozacy pośpiewywali sobie, tańcowali i wzdychali:

— Och, dziewok by nam!

Nie dokończyli tej drugiej beczki. Posnęli, gdzie kto stał. Majowa noc krótka, ciepła, wonna drżała cudownym niepojem prężącej się wiosny.

Feliks Bogucki przekradał się do swojej młodej żonki. Jechał po łąkach kwiecistych, soczystych. Odurzyły go te młode trawy. Cicho przeprawił się przez Bug. Woda koniowi ledwo obmyła kopyta. Zostawił dzielnego karosza trzydziestu towarzyszom, a sam dostał się na ganek dworu. Odrazu zrozumiał sytuację.

Wrócił do przyjaciół. Wpadli jak ogień. Ogarnęli śpiące kozactwo i powiązali jak barany. Widok cierpiącej żony zdecydował o okrutnej decyzji.

— Na wierzby z kozakami!

Pan Feliks Bogucki w zajadłej pasji przystroił wszystkie sto wierzb, wiodące od traktu do parku swego domostwa.

— Jak śmieli dotknąć jego Ani!

Jeszcze przed świtem zginął wśród leszczyn zabużańskich. Nie zdążył nawet uścisnąć żony, ani ujrzeć ojca...

* * *

Rotmistrz Jego Cesarskiej Mości graf Ignatji Łańskoj jechał traktem nurskim, nie spiesząc się: rozmyślał o ślicznej tancerce z Petersburga.

— Gracja — nie gracja, a poprostu bogini.

Rozkazał kozakom, by śpiewali. Małe, mechate koniki szły drobnym krokiem w takt terskich pieśni kozackich.

Piękny dzień majowy stał w krasie i pełni. Pojechali pod boczną drogę, wiodącą do Bogut. Przerazili się:

Na stu wierzbach wisiały kozackie kadłuby, śmierdzące już zdala okowitą...

Graf Łanskoj zawrzał wściekłym gniewem. Otoczył dwór i rozkazał, by naniesiono słomy. Nie pozostawi i śladu, że tu kiedyś mieszkali ludzie!

Uważał jednak, że powinien zasięgnąć języka.

Rozkazał kozakom, by wypędzili z domostwa ludzi. W okamgnieniu znalazła się służba na dworze. Rotmistrz zawołał do swoich sołdatów:

— Wszystkich zabraliście?

— Nie. Na górze został sparaliżowany pomieszczyk, a w pokoju sypialnym młoda pani.

— Dlaczego nie wyszła?

— Chora.

— Ja jej dam chora!... — zaryczał. — Wyjął pałasz z pochwy i wszedł na pokoje. Nikt mu drogi nie zastąpił.

Uderzył ręką w drzwi: rozstąpiły się. Na łożu zbita i zbolała leżała Ania. Stanął oszołomiony, opuścił szablę, zerwał czapkę z głowy:

— Jakżem rad, że panią widzę... — ucieszył się.

— A ja nie jestem rada... — odparła.

— Co się z panią dzieje?... — nie dał zagłuszyć swojej radości z nieoczekiwanego spotkania...

— Kozacy zbili mnie do krwi, poszukując męża.

— A pan Bogucki to wasz muż?... — zapytał przerażony.

— Tak, to mój mąż... — potwierdziła.

W mgnieniu błyskawicy rozumiał wszystko. Uderzył wojskowo obcasami na pożegnanie! Już w drzwiach powiedział:

— Jak mi żal! Jak mi żal... A kto powiesił kozaków?...

— Mój mąż!... — usłyszał., jak pieśń odwetu.

Zamknął cicho drzwi, zszedł przed dwór. Skomenderował:

— Na koń!...

Odjechali. Naniesioną słomę wiatr rozniósł po parku.

* * *

Sto wierzb stoi jeszcze przy drodze, wiodącej do dworu, Pruchnicą je czuć, choć zielenią się liście. W dworzeresztówce siedzi ex-ułan, wnuk i spogląda na kwieciste Zabuże. Może z tych łąk, może z za tych leszczyn zwidzi mu się twarz Feliksa i czarowna postać babki Ani?

Przed dworem szumią stare wierzby.

# ROZMAITOŚCI





**PLANTACJE TRZCINY CUKROWEJ.** Trzcina cukrowa jest rośliną z rodziny trawiastych. Ojczyzną jej jest Azja zwrotnikowa i Indje. Obecnie jest hodowana we wszystkich okolicach podzwrotnikowych dla otrzymania cukru trzcinowego z mięsistego rdzenia jej łodygi. Najwięcej trzciny cukrowej produkuje Kuba (34 miljonów q), następnie Indje (26 milj.), Jawa (15.5 milj.), Stany Zjednoczone Ameryki Północnej (10.7 milj.) itd. W przeciwieństwie do krajów podzwrotnikowych, Europa produkuje cukier z buraka cukrowego. Produkcja ta w kampanji 1930/31 wynosiła 6,268.680 ton i zmniejszyła się o 30% wstosunku do roku ubiegłego. Zdjęcie nasze przedstawia plantacje trzciny cukrowej na Kubie. Podkreślić należy, że polskie nasiona buraczane uchodzą za najlepsze na świecie.



**MUZYKA KRÓLA KNAUBALU.** Król Knaubalu jest władcą Ugandy, kraju w Afryce wschodniej, zostającym od 1894 r. pod protektoratem W. Brytanji, a zamieszkałym przez murzynów Bantu, Masajów, Nilotyków i murzynów sudańskich. Ponieważ w ostatnich czasach król Knaubalu popadł w trudności finansowe, przeto z wdzięcznością przyjął ofertę pewnego amerykańskiego impressarja, który za grubem wynagrodzeniem zaproponował mu występy na scenach w Stanach Zjednoczonych Ameryki. W Nowym Jorku jednak nie chciano go puścić dalej, ponieważ przybył on w towarzystwie swych pięciu żon, ustawy zaś zabraniają w Stanach Zjednoczonych Ameryki wielożeństwa. Wobec tego król Knaubalu, jako władca despotyczny i najwyższy zwierzchnik religijny z miejsca udzielił sam sobie i swoim czterem żonom rozwodu i mianował je damami dworu, zostawiwszy sobie tylko jedną, wobec czego już bez przeszkód wysadzono go na ląd. — Zdjęcie przedstawia sławną orkiestrę króla Ugandy. Składa się ona z kilku prymitywnych instrumentów i raczej hałasuje niż gra.



W owalu:

**LATAJĄCY FINN PONOWNIE MISTRZEM EUROPY.** Mistrzostwo świata w jeździe szybkiej na łodzie dzierży od szeregu lat Finn Clas Thunberg. Nie należy on do ludzi młodych, gdyż dzisiaj liczy już 38 lat, mimo to znajduje się on ciągle w doskonałej formie i góruje nad wszystkimi swoimi młodszymi kolegami. Mistrzostwo Europy zdobył on po raz pierwszy w r. 1922, a w r. 1923 mistrzostwo świata. Tytuł ten zatrzymuje także w latach 1925, 28, 29 i 31. Dnia 13. I. 1921 ustanowił on rekord świata na dystansie 500 m. w czasie 42.6 sek., odpowiadający szybkości 48.3 km. na godzinę, a uważany za najlepszy rekord łyżwiarski. W ub. niedzielę zdobył on na torze lodowym w Davos mistrzostwo Europy. W zawodach tych brali udział także Polacy. W konkurencji męskiej Kalbarczyk (AZS. Warszawa) zajął jedno z dalszych miejsc, natomiast warszawska łyżwiarka Nehringowa ustanowiła nowy kobiecy rekord świata na dystansie 3 km., a mianowicie 6:39.2. Nehringowa ustanowiła także rekord świata na dystansie 500 m. w czasie 59 sek., lecz rekord ten został pobity jeszcze tego samego dnia przez Wiedenkę Landbeck czasem 58.7.

**ZŁOTA RÓŻA KRÓLOWEJ MARJI JÓZEFY W SKARBCU KATEDRY WAWELSKIEJ.** W Rzymie od pierwszych czasów chrześcijaństwa obchodzono w niedzielę Środopościa radosne święto zwycięstwa wiosny nad zimą, wprowadzone roztropnie na miejsce dawnej uroczystości pogańskiej. Do wesołych obrzędów tego dnia należało święcenie świeżych kwiatów. Od XI wieku papieże zamiast zwykłych kwiatów wprowadzili srebrną czy złotą różę, którą osadzono na ozdobnej podstawce, upodobnionej do świecznika. Znaczenie symboliczne obrzędu wyjaśnia modlitwa przy święceniu, nazywająca Chrystusa „Kwiatem pola i lilją doliny". Po uroczystości oddawali papieże różę, jako odznaczenie, początkowo dostojnikom swego dworu, a potem innym osobom, najczęściej królowom, gdyż dla królów i książąt przeznaczali miecz i czapkę z wyobrażeniem Ducha św., jako symbol obrony wiary, które poświęcali w wigilję Bożego Narodzenia.

W Polsce pierwszą różę otrzymał w r. 1448 król Kazimierz Jagiellończyk od papieża Mikołaja V. Drugą papież Juljusz II, przez posłów królewskich do Stolicy Apostolskiej, Erazma Ciołka biskupa płockiego i Wiktoryna Sienieńskiego, przesłał w r. 1505 królowi Aleksandrowi Jagiellończykowi. Król przekazał ją do Skarbca katedralnego na Wawelu, gdzie w inwentarzu zapisano ją po raz ostatni w r. 1702, z czego widać, że w tym właśnie roku zginęła przy złupieniu Skarbca przez Szwedów. Dalszą z kolei różę ofiarował Grzegorz VIII Henrykowi Walezemu w r. 1574, przed jego przybyciem do Polski. Czwartą została zaszczycona pierwsza w Polsce królowa, żona wielkiego Batorego, Anna Jagiellonka, która ją oddała do kościoła św. Jana, dziś katedralnego w Warszawie. Piątą z kolei odznaczoną została w r. 1592 przez Klemensa VIII Anna Austrjaczka, pierwsza żona Zygmunta III, szóstą Paweł V przesłał temu królowi w r. 1607, a siódmą otrzymała druga jego żona, Konstancja Austrjaczka od Urbana VIII. Ósmą Inocenty X przesłał w r. 1651 Ludwice Marji Gonzadze, żonie Jana Kazimierza. Dziewiątą w r. 1672 otrzymała od Klemensa X Eleonora Austrjaczka, żona Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Dziesiątą Marja Kazimiera od Inocentego XI, wraz z mieczem i czapką przysłaną Sobieskiemu po zwycięstwie wiedeńskiem. — Z innych dostojnych u nas osób otrzymała złotą różę od Klemensa VIII-go Halszka z Radziwiłłów, żona Leona Sapiehy.

Dziś w Skarbcu Katedry Wawelskiej i w ogólności w Polsce, zachowała się jedna tylko złota róża, dająca nam wyobrażenie, jak tego rodzaju drogocenny zabytek wygląda. Jest to jedenasta (na zdjęciu) przesłana dla osoby z naszego panującego domu, mianowicie przez Klemensa XII w r. 1736 Marji Józefie, żonie Augusta III, króla polskiego, a elektora saskiego. Królowa testamentem w r. 1757 zapisała ją ołtarzowi św. Stanisława w Katedrze Wawelskiej, przy którym koronowali się nasi królowie. Na razie jednak dar ten pozostał w Dreźnie, a dopiero wnuk Marji Józefy, elektor saski, późniejszy król i książę warszawski w r. 1801 polecił swemu spowiednikowi, ks. J. Schneiderowi, odesłać różę do Krakowa. Zapisano wtedy w Aktach Kapitulnych, że róża, mająca trzynaście kwiatów, z pięknym szafirem na najwyższym kwiecie, listków zaś na gałązkach sto pięćdziesiąt i jeden, osadzona jest na postumencie także szczerozłotym, z herbem papieża Klemensa XII. Na całość wyszło szczerego złota 600 dukatów. Opis ten w zupełności zgadza się z dzisiejszym wyglądem. Dodajmy, że postument jest bardzo piękny, w stylu późnego baroku, a całość ma 95 cm. wysokości.

*Ks. dr. Tadeusz Kruszyński.*



# TAJEMNICE GŁĘBIN MORSKICH.

Morza hodują w swych głębiach moc niezwykłych zwierząt. Poznano je częściowo przez dokonywanie połowów sieciami najrozmaitszych systemów. Ale chociaż ma się w ręku czy słoju muzealnym setki spreparowanych zwierząt, trudno jest sobie wyobrazić, jak one właściwie we wodzie żyją, co tam robią, czem się żywią?

Człowiek zaczął tedy schodzić w głąb wód, aby podpatrzyć życie na miejscu. Robił to początkowo nieśmiało. Zakuty w skafander nurka opuszczał się na kilkanaście do kilkudziesięciu metrów w głąb i przynosił ze sobą wiadomości oszałamiające. Zainteresowanie głębiami mórz rosło. Powstawały nowe pomysły badań. Dziś urzeczywistniono dwa z nich. Jeden polega na tem, że schodzi się w głąb morza po drabinie otoczonej dokoła silną rurą metalową. Rura ta wisi zaczepiona o dno statku, na drugim końcu zaś rozszerza się w mały pokoik, gdzie można wygodnie stać lub siedzieć i poprzez szyby z grubego szkła oglądać wszystko, co się dokoła we wodzie dzieje.



*Powstająca rafa koralowa. Tworzą się one ze szkieletów korali, czyli drobnych polipów, tylko na obszarze mórz podzwrotnikowych, których temperatura wynosi minimum + 18 C i na głębokości nieprzekraczających 40 m. Specjalny typ raf stanowią atole. Są to wyspy koralowe, kształtu pierścieni, powstałe przez narastanie koralowiny ku górze w miarę obniżania się dna, do którego są przytwierdzone. Tworzą się one na bardzo znacznych głębokościach.* Zdjęcia Ag. fot. „Wide World Photos" — Paris

*Poniżej: Krocie najrozmaitszych ryb, poruszających się na dnie morskiem.*

Badanie większych głębi umożliwia druga metoda. Polega ona na tem, że do wielkiej kuli metalowej wchodzi człowiek. Wejście za nim zakręca się szczelnie i całą kulę wpuszcza na potężnych łańcuchach w głąb na kilkaset metrów. Łańcuchy i drut telefoniczny łączą śmiałka ze światem. Wewnątrz kuli ma tlen w butlach do oddechania i ciepłe ubranie dla ochrony przed zimnem wody otaczającej. Szyby w ścianie kuli pozwalają oglądać, a nawet fotografować wszystko.

Najciekawsze rzeczy widzi się w morzach produkujących rafy koralowe. Krajobraz podmorski wygląda jak z baśni. Bogactwo kształtów i barw przechodzi wszelkie oczekiwanie. Można je podziwiać godzinami bez znudzenia.

Rafy koralowe zawdzięczają swe powstanie współpracy miljardów drobnych zwierzątek zwanych polipami. Osiadłe w kolonjach budują przez długie szeregi lat swe szkielety. Jedne z nich umierają, ciało ich rozpada się. Lecz na pozostałym szkielecie osiedla się nowy polip, tworzy szkielet dla siebie, a przez to samo dorzuca jedną maleńką cegiełkę do powstania przyszłej rafy koralowej.

Wiele gatunków polipów pracuje w tych samych ciepłych morzach, a każdy z nich zdobywa się na charakterystyczne dla siebie budowle. Jedne z nich tworzą grube gałęzie z licznemi gałązkami. Zamiast liści czy szpilek rosną na nich gęsto siarkowo-żółte drobne polipy. Inne tworzą bryły kuliste barwy żółtej lub różowej. Obok nich rosną krzaki gęściołów, również polipów, o barwach czerwonych, fjołkowych i żółtych. W cieniu niejako tych zwierząt-krzewów rozchylają ukwiały, barwne jak kwiaty, swe liczne ramiona, czając się na zdobycz.

Rafy koralowe oglądane z wody wyglądają jak barwny las. Blisko jego wierzchołków pląsają w świetle docierających tu promieni słońca, ryby małe i średnie o barwach tak jaskrawych jak i sam las koralowy. Na tle najczęściej jasnem odcinają się ostro czarne, niebieskie, czerwone i żółte paski, prążki, plamki i gwiazdy. Dla większego urozmaicenia kształt tych ryb bywa nieoczekiwany. — Trafiają się cienkie a bardzo wydłużone, lub naodwrót znacznie skrócone. Jedne mogą być płaskie, inne kuliste. Płetwy ich grzbietowe, piersiowe lub brzuszne wyrastają we fantastyczne, do piór podobne, twory. Kolce jaskrawe występują w najmniej oczekiwanem miejscu ciała. Wszystkie te rybki unoszą się we wodzie jak barwne motyle nad kwietną łąką. Zdają się flirtować ze sobą i ze zwierzętami-kwiatami.

Ale nawet w tym kraju z baśni muszą się mieć ciągle na baczności. Z gęstwy krzewów koralowych wypada drapieżna ryba z paszczą szeroko rozwartą. Zagarnia nią, jak siecią, mniej czujne rybki-motyle i znika z niemi w swej kryjówce. Kilka chwil — popłoch wśród drobiazgu minął i znów cieszą się życiem i flirtują.

Korzenie lasu koralowego toną w ciemnościach. Ale i tu życie jest nawet bujne. Część zwierząt żyje odpadkami kuchennymi lokatorów wyższych pięter raf koralowych. Pozostałe polują na pierwsze lub odbywają wyprawy ku powierzchni morza, gdy tylko promienie słońca przestaną przenikać w głąb wód. I tu na dnie zwierzęta wiedzą o tem, że czujność i ostrożność jest nakazem chwili. Wszędzie czaji się wiecznie głodny wróg.

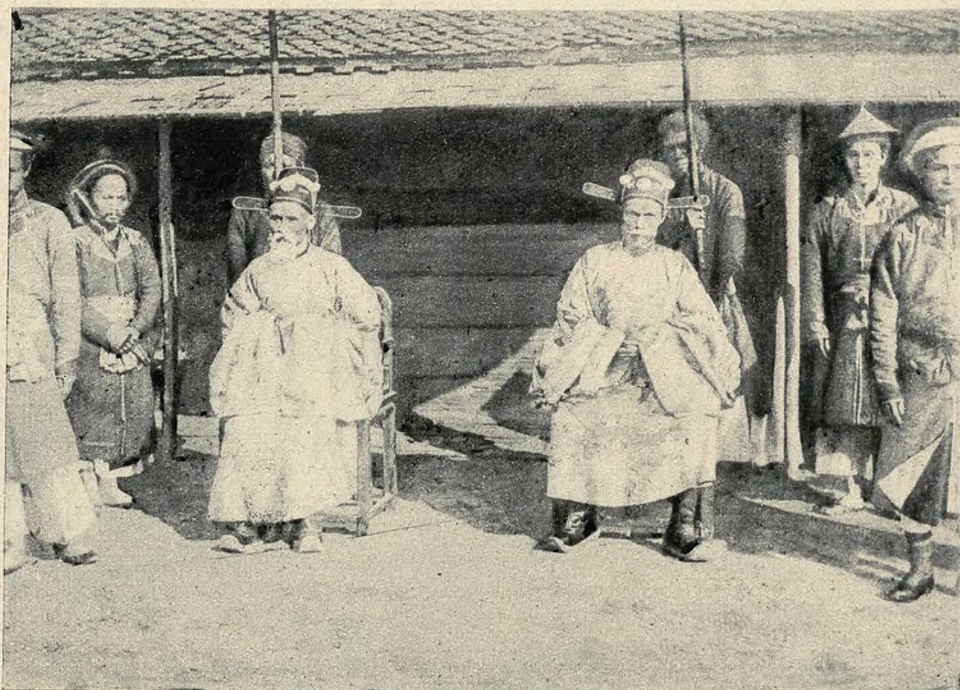
Zobaczyć i zbadać to życie dotychczas niedostępne udało się człowiekowi, dzięki jego genjuszowi. Na razie tylko nieliczni wybrani mogą je oglądać „in flagranti". Niedługo zapewne ujrzymy wszyscy życie to zaklęte we wstęgę filmu. A może niedługo głębie wód staną się dla ogółu tak dostępne jak szczyty gór.

Z. G.

# NAM-DINH — MATECZNIK MANDARYNÓW.



*Ogólny widok miasta Nam-Dinh, w którym odbywają się egzaminy na mandarynów.*



*Komisja egzaminacyjna.*

*Poniżej: Jeden z sędziwych kandydatów do egzaminu.*

Nad jednem z ramion delty Song-koi, już niedaleko od ujścia do zatoki Tonkińskiej, leży szeroko znane miasto Nam-dink, głośne z odbywających się na jego terenie co 3 lata państwowych egzaminów na mandarynów.

Rozgłos swój zawdzięcza ono staremu i ciekawemu przywilejowi, mocą którego każdy z jego mieszkańców płci męskiej ma prawo zasiadania do wzmiankowanego egzaminu.

Pozostaje to w związku z niezwykłem poważaniem, okazywanem w tamtych okolicach nauce.

Utarło się w Europie, że uczonych chińskich, urzędników i dygnitarzy nazywa się mandarynami. Jest to o tyle nieścisłe, że Chińczycy mają własny termin' K w e n, podczas gdy słowo mandaryn jest pochodzenia sanskryckiego („mentrin“) i przejęte zostało przez języki malajskie.

Egzamin mandaryński należy do najcięższych, jakie wogóle są znane. Kandydat musi wykazać się doskonałą znajomością języka, złożyć d o w o d y zupełnego opanowania symboliki pisma, historji, literatury i filozofji chińskiej. Wiadomości z medycyny (nauka o ziołach) stanowią osobny przedmiot.

Przy sposobności warto zaznaczyć, że język chiński wraz z tybetańskim, birmańskim i sjamskim, należy do grupy języków indochińskich, odznaczających się brakiem deklinacji, ciekawą składnią i stosowaniem słów pomocniczych. Dalszą cechą chińskiego jest monosylabizm, wskazujący na wielką starożytność języka (historyczne początki przedklasycznego okresu chińskiego sięgają trzech tysięcy lat przed Chrystusem) i barwność dźwięków. — Każde słowo chińskie posiada własną barwę; w ten sposób słowo składa się z dźwięku i barwy. O pojęciu podporządkowanem danemu dźwiękowi rozstrzyga sposób akcentowania i nasilenieg łosu zarówno jakościowe jak i ilościowe.

Współczesny język chiński rozpada się na kilka grup dialektowych. Mandaryni mówią własnym dialektem (kwan-hwa), który jest równocześnie językiem potocznym inteligencji Wykazuje on trzy różne narzecza: północne — pekińskie, uchodzące za najwytworniejsze, południowe — nankińskie i zachodnie z ogniskiem w w Czing-tu-fu (prow. Sze-czwan).

Jeszcze trudniejszem do opanowania jest pismo chińskie. Jest ono obrazkowe, a początki jego giną w mrokach historji. Liczba znaków pisarskich wynosi około 24.000. Są one albo pojedyncze albo złożone.. Składanie znaków idzie w kierunku fonetycznym lub symbolicznym. — Przez składanie symboliczne rozumie się tego rodzaju zestawienie znaków, że współwystąpienie dwóch pojęć prostych daje trzecie pojęcie nowe, np. słońce, księżyc = światło. W odróżnieniu od składni symbolicznej daje składnia fonetyczna jeden znak treściowy pojęcia i drugi, określający barwę wdzięku. W związku ztem posługiwanie się słownikami chińskimi jest zupełnie specjalną umiejętnością.

Tak się przedstawiają dwa tylko przedmioty egzaminacyjne.

A cóż mówić dopiero o historji, literaturze itd., które przedstawiają dorobek pięciu tysięcy lat.

Jak wyżej powiedziano, egzaminy odbywają się w Nam-dinh raz na 3 lata. Zasiadają do nich młodzi i starzy, młodzieniaszkowie, butnie wkraczający w życie i siwi starcy, zniszczeni życiem, nieledwie nad grobem stojący.

Kandydaci gromadzą się na kilka tygodni przed egzaminami. Każdy zaopatrzony jest w namiot, lampkę, kuferek z najniezbędniejszemi do życia i pracy naukowej utensiljami, matę do spania i stolik.

Miasto wyznacza im plac, na którym w krótkim czasie wyrasta — zależnie od ilości kandydatów — często ponad tysiąc namiotów.

Rozpoczyna się okres gorączkowego przygotowywania do egzaminu, powtarzania i odświeżania wiadomości zdobywanych nierzadko wysiłkiem całego życia, oraz wyczekiwania na przyjazd delegowanego przez króla Annamu ministra, wobec którego kandydaci zasiadają do egzaminu.

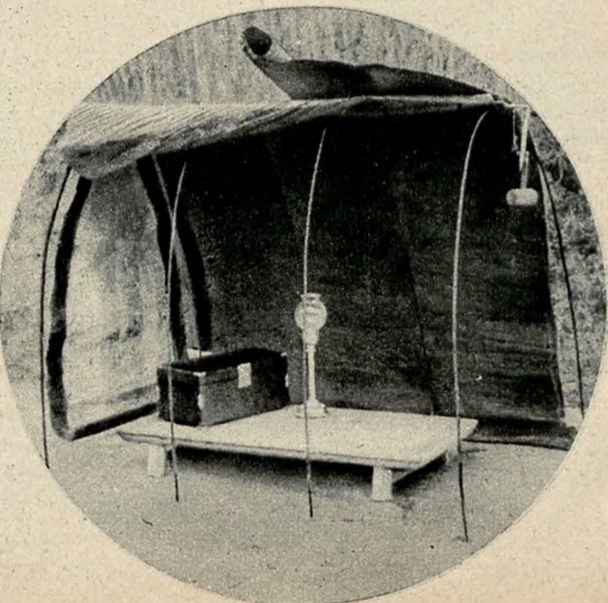
A ważna to w ich życiu        Ważna i decydująca o losach przyszłości. Złożenie egzaminu otwiera drogę do karjery urzędniczej i dopuszcza w szeregi mandarynów. Wynik ujemny przekreśla — któż wie, na jak długo wszelkie marzenia, plany i ambicje.

Senat, złożony z sędziwych mandarynów, zasiada w bogatych, tradycyjnych strojach. Otacza go poczet licznej służby, a bije odeń zimny chłód i groźna powaga.

Zasiadający Senat zdaje się być wcieleniem i personifikacją tej — tak przez Chińczyków cenionej — surowej roztropności, pozbawionej nawet cienia uczucia.

Na czele Senatu stoi uczony mędrzec obleczony w czarną jedwabną szatę.

**Wiktor Ormicki (Kraków).**



***W kole:** Namiot przeznaczony dla kandydata, w którym pozostaje on przez cały czas egzaminu w ścisłem odosobnieniu.*

# t a f t a



Młodociana suknia balowa z różowej tafty gładkiej lub deseniowej. Prosty krój podnoszą szarfy i układane rysze, z tej samej tafty. Sznur perełek uzupełnia skromną lecz wytworną całość.



Suknia taftowa na małe przyjęcia. Tafta w białe i zielone paski, dobrze zastosowana do sukni z silnie rzucającym się kloszem poniżej bioder. Bufiaste rękawki i falbanki na biodrach przypominają żywo suknie z lat 80-tych. Pasek z zielonej aksamitnej wstążki w odpowiednim tonie.



*Poniżej: Piękna suknia wieczorowa z mieniącej tafty granatowo-zielonej. Oryginalną ozdobą jej są szarfy i bufiaste rękawy, uzyskane przez sute marszczenie tafty, wystebnowanej w drobne podłużne zakładeczki.*

Elegancja i szyk tualety nie zależy wyłącznie od kroju i uszycia, choć to są podstawowe czynniki stroju. Nierównie ważnym jest rodzaj materjału, z którego suknia jest wykonaną i dobór koloru odpowiedniego do danego typu urody.

Materjały, z których wykonuje się obecnie suknie i wszelkiego rodzaju tualety posiadają rozmaite właściwości. Każdy inaczej układa się w szyciu i na figurze. Inne walory pod tym względem ma wełna, a inne jedwab. Ale i wśród gatunków jedwabi, jakże wielkie są różnice!

Ciężka charmeuse lub crepe satin spływają ku ziemi, uwydatniając miękko kształty postaci. Lśniące velour-chiffon'y przylegają do figury i uwysmuklają sylwetkę. Wiotka gaza zdaje się unosić na niewidocznych skrzydłach uroczą właścicielkę takiej tualety.

Sztywniejsza od reszty jedwabi tafta stwarza odmienne walory estetyczne i trudniejsze jest wskutek tego jej zastosowanie. Przy umiejętnem dobraniu fasonu sukni dają kreacje taftowe duże i różnorodne możliwości tembardziej, że rodzaje jej są prześliczne w kolorach i gatunku, zwłaszcza t. zw. „chine" kwieciste, w pastelowych tonach. Gatunki tafty są też obecnie znacznie miększe niż przed laty i skutkiem tego jest ona trwalsza, nie pęka bowiem tak łatwo.

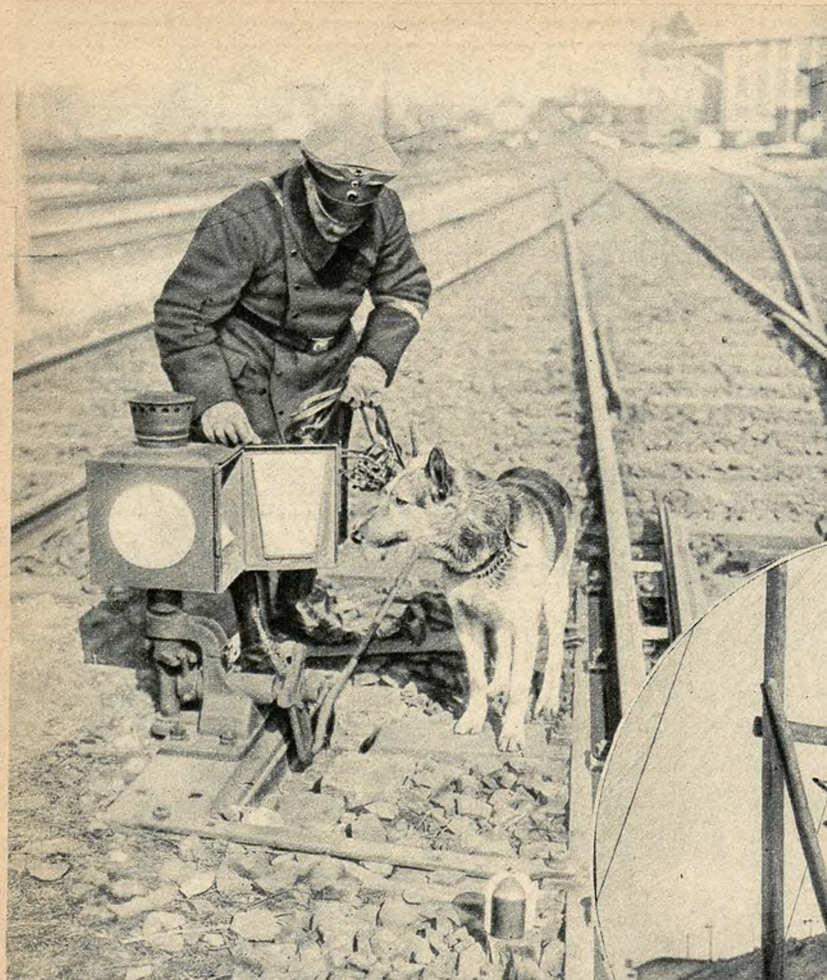
Wśród tualet balowych zwycięża tafta częstokroć inne materjały przez tę swą specyficzną zaletę, że nie mnąc się łatwo, daje pożądaną świeżość aparycji, co na zabawy całonocne jest szczególnie ważną zaletą.

Najlepiej nadaje się tafta do sukien stylowych, a przy tegorocznym powrocie do wszelkiego rodzaju puf, szarf i riuszek zostawia wiele możliwości do zastosowania.

Powyżej reprodukujemy kilka pięknych tualet balowych, wykonanych z tafty gładkiej i „chine".

W. W.

# KOLEJE NIEMIECKIE w WALCE z ZAMACHOWCAMI





*Specjalnie tresowany pies obchodzi tor kolejowy w poszukiwaniu za zamachowcami.*

***W kole:*** *Pies oszczekujący zbrodniarza, usiłującego przeciąć przewody telegraficzne.*

Zdjęcia Keystone View Company, Berlin.

Częste zamachy na pociągi w Niemczech, organizowane bądź przez pospolitych zbrodniarzy, jak Matuszka, bądź też przez elementy komunistyczne, oraz ogromny wzrost kradzieży w magazynach zmusiły zarząd kolei niemieckich do przedsięwzięcia nadzwyczajnych środków dla zabezpieczenia życia i mienia podróżujących. Przedewszystkiem więc do tych celów powołano policję, specjalnie wyszkoloną, która posiłkuje się odpowiednio wytresowanemi psami. Główna szkoła tresury psów znajduje się w Röntgenstal. Używa się do niej przeważnie psów owczarskich, jako odznaczających się największą pojętnością, a równocześnie silnych i odważnych. Psy te pełnią służbę bądź samodzielnie, bądź też w towarzystwie wartownika.

Samodzielna służba polega na obejściu pewnego odcinka toru i przeszukania go. Zauważywszy na szynach jakieś podejrzane przedmioty, jak kłody, duże kamienie lub materjały wybuchowe, psy zaczynają szczekać, ostrzegając w ten sposób kogo należy. Ponadto psy te wieczorem obszukują magazyny przed zamknięciem, badając, czy nie ukryli się w nich złodzieje.

Niejednokrotnie zdarzało się, że psy były także pomocne przy wyszukiwaniu sprawców większych kradzieży z wagonów kolejowych. Okazywały one przy tem zdumiewającą inteligencję i przebiegłość, idąc jak za sznurkiem po bardzo trudnych do rozpoznania śladach, niełatwych do odszukania na olbrzymich dworcach, gdzie panuje ruch ogromny i kręci się mnóstwo ludzi.

Innym rodzajem służby psów policyjnych jest obchodzenie toru w towarzystwie wywiadowcy. Użyteczność ich wychodzi na jaw szczególnie w mgliste noce, kiedy na kilka kroków nic nie widać, a orjentacja jest bardzo utrudniona.

Wreszcie ostatniem zadaniem psów kolejowych jest wyszukiwanie ofiar nieszczęśliwych wypadków, jak np. przejechanych przez pociąg, samobójców itd.

Niewątpliwie inne państwa wykorzystają doświadczenia niemieckie z psami kolejowemi, gdyż koszt ich utrzymania jest minimalny w stosunku do korzyści, jakie się z nich odnosi.






Siedząc w kawiarni krakowskiej i czekając z niecierpliwością, aż ten jeden zawsze oczekiwany uśmiech rozsłoneczni drzwi wejściowe, przypominam sobie kawiarnie, restauracje, bary paryskie. Niewątpliwie, atmosfera tych lokali jest najzupełniej inna, niż naszych!

Rozglądam się dokoła — przedewszystkiem za dużo znajomych! Znajomi z literatury, znajomi z dziennikarstwa, znajomi z malarstwa, znajomi z armji... Dużo znajomych niewiadomo skąd. Znajomi prorządowi i znajomi z opozycji. Nie można swobodnie egzystować w kawiarni z taką ilością znajomych!

Wszyscy czytają (?) dzienniki, najczęściej wiedeńskie; okropność! Wszyscy piją czarną kawę; ja też. Atmosfera dość ponura, monotonna, przerywana piosenkami z głośnika, przyczem „Moja mała" powtarzana jest zawsze dwa razy, jeden raz na specjalne żądanie, drugi raz chyba dla mnie?

Postanawiam sobie zaraz po powrocie do domu napisać feljeton do „Światowida" o barach, kawiarniach i restauracjach paryskich. Piszę go więc:

Charakterystycznym dla Paryża widokiem są urządzenia lokali restauracyjnych i kawiarnianych, polegające na tem, że niejednokrotnie większa część zakładu wyniesiona jest na ulicę. Są to tak zwane terasy na trotuarach, najczęściej niczem nieoddzielone od ulicy, zmieszane z jej wrzawą i wyziewami, w którym ostrych podkładem jest benzyna tysięcy przemykających aut. Terasy te pełne są w lecie i w zimie; pełne są nawet podczas tak upiornych mrozów, jakie rok temu panowały w Paryżu: —2°... a propos których prasa paryska pisała alarmujące artykuły, zatytułowane: „Ofensywa mrozu wzmacnia się" lub „Paryż w okowach zimy".

Podczas zimowej pory terasy te są ogrzewane piecykami żelaznemi, które posiadają dwie zasadnicze cechy umilające życie: śmierdzą i sprowadzają grypę, gdyż zawiew ich ciepła, kłócąc się z zawiewem zimna z ulicy, mile usposabia organizm do przyjęcia zarazków zaziębienia.

Nad terasami łopocą ogromne dachy z płótna i te właśnie płócienne straszydła, najczęściej dość brudne, są tak charakterystycznym widokiem ulicznym Paryża.

Lokale takie wyglądają bardzo ładnie wieczorem, gdy zaświecą się nad niemi światła reklam, bo na światła w restauracjach i kawiarniach Paryża nie żałują. Dużo do jaskrawej łuny, którą nad Paryżem widać przez wieczór i większą część nocy, przyczyniają się właśnie światła restauracyj i kawiarń, których stolica nadsekwańska posiada niezliczoną ilość. Przy każdej ulicy można zobaczyć po kilka czy kilkanaście większych czy mniejszych lokali jedzeniowych.

Restauracje — jak zawsze i na całym świecie — dzielą się na drogie i tanie. W Paryżu drogie dzielą się jeszcze na luksusowe i drogie. Są takie restauracje przy Champs-Elysees i przy Operze, gdzie nie można zjeść obiadu taniej, jak za tysiąc franków na osobę.

Restauracje są daleko mniej zajmujące od kawiarni. Kawiarnie paryskie dzielą się znów na duże, małe i całkiem malutkie. Duże kawiarnie są nietylko kawiarniami, połączone są z restauracjami i barami. Takie lokale mają swoje „specialites de maison" — najczęściej jest to „choucroutte garnie" lub „moulles marinieries", to pierwsze oznacza kapustę z parówkami i kilkoma rodzajami wędliny na gorąco, to drugie podłużne mięczaki w czarnych muszlach. Stale powtarza się też w menu takich kawiarni „assiette anglaise" czyli to, co u nas nazywa się trupio „zimne mięso" i ulubiona zupa Paryża — cebulowa z serem.




Bar i grill-room tworzą nieodłączne części składowe dużej kawiarni paryskiej. Bar jest to duży kontuar, przy którym na stojąco można tanio zjeść drugie śniadanie czy podwieczorek; ceny przy barze są zazwyczaj połową cen przy stolikach. Nieco droższe są bary, gdzie je się na siedząco na wysokich krzesłach. Grill-roomy zaś są to odgraniczone części kawiarni, gdzie można jeść wszystko przy nienakrytych stolikach.

Naturalnie istnieją także i to w dużej ilości bary same dla siebie — zbiorowisko takich barów, urządzonych zazwyczaj bardzo nowocześnie, znajduje się najwięcej na Montmartre. Są one zazwyczaj bardzo drogie i konsumcja w nich ogranicza się do zalewania się najprzeróżniejszemi trunkami, których w Paryżu wybór jest niewyczerpany.

O trunkach w Paryżu możnaby napisać epopeję. W każdym lokalu widzi się niezliczone ilości różnych flaszek, z których każda innem wygięciem nęci i wznieca nieopanowane żądze. Nie mówię już o winie, którego gatunków jest chyba z jakie czternaście tysięcy sześćset osiemdziesiąt trzy... Ale poza winem, poza piwem, którego konsumcja wzmaga się w Paryżu z roku na rok, są te setki niezliczone „trunków amerykańskich", cocktailów, aperitifów, nalewek, infuzji, likierów, wódek prowincjonalnych — cała otchłań zaszarganej opinji i powrotów do domu o ósmej rano na trzeci dzień.

Pośród tysiąca kawiarń paryskich rozróżniamy pozatem specjalne kawiarnie, jak naprzykład studenckie, artystyczne, robociarskie, takie, o których się nie mówi, takie, o których się tylko myśleć nie chce.. Są takie tanie kawiarenki, nazywające się „Cafes-Biard", które składają się z maleńkiego lokalu, olbrzymiej gospodyni i owalnego kontuaru. Studenckie kawiarenki pełne są wrzawy i romantycznych obrazów, obrażających moralność, która w Paryżu nigdy się nie obraża. Na Montparnassie szereg kawiarni artystycznych, które są siedzibą malarzy i innych strasznych i podejrzanych typów...

A najmilsze są takie malutkie, romantyczne kawiarenki, jakby stworzone na randki dla zakochanych; stoliczki odgrodzone od świata we wnękach ścian, kelnerzy, którzy wykonawszy zamówienie zdają się zupełnie zapominać o gościach... Jakże takich kawiarenek brak mi w Krakowie!...

Sporo jest kawiarń w Paryżu otwartych przez całą noc; są to albo ponure kawiarnie przy Halach centralnych. gdzie skupiają się męty nocne przy mętnej kawie i gdzie bez agenta policyjnego lub Jana Wiktora najczęściej niebezpiecznie jest się pokazać — albo też duże kawiarnie, jak te na Montparnassie, gdzie zbiera się przez całą noc bardzo mieszane towarzystwo, gęsto przeplatane „wesołemi", ale najczęściej bardzo smutnemi dziewczynkami. Takie kawiarnie zamykane są tylko na pół godziny na dobę, koło szóstej rano, celem przeprowadzenia porządków.

O ile restauracje paryskie noszą piętno pośpiechu, o tyle kawiarnie mają w sobie coś raczej z domowości. Tłumaczy się to tem, że większość mieszkańców Paryża spędza wiele godzin w kawiarni, w nich załatwia interesa, pisze listy (i wiersze!), w nich jedzą, piją, lulki palą, tańce, hulanka, swawola (często kawiarnie połączone są z dancingami)... Dlatego kawiarnia paryska ma w sobie tyle uroku — jest ona czemś na pograniczu domu i ulicy, z plusami domu i minusami ulicy.

Napisałem więc, jak sobie obiecałem, feljeton o kawiarniach paryskich; zbliża sięwieczór — co robić? Chyba pójść do kawiarni...

Siedząc w kawiarni krakowskiej i czekając z niecierpliwością, aż ten jeden zawsze oczekiwany uśmiech rozsłoneczni drzwi wejściowe, przypominam sobie kawiarnię paryską... Obok znajomy czyta „Wiener Journal", naprzeciw dwaj znajomi, spokojni szaleńcy, grają (zapewne od rana) w szachy i nawet się nie kłócą... Głośnik śpiewa:

„Za tyle pięknych dni,
coś trzeba wzamian dać —
w pokorze głowę schyl
i łez perłami płacz"...

Zamawiam czarną kawę...

*Witold Zechenter.*

# Z POLSKI.



**Na marginesie procesu „brzeskiego".** Podczas ostatnich głośnych procesów w Sądzie Okręgowym w Warszawie, zyskał sobie specjalną popularność wśród prasy i bywalców sądowych woźny Sądu Okręgowego Stanisław Kukieła (na zdjęciu).

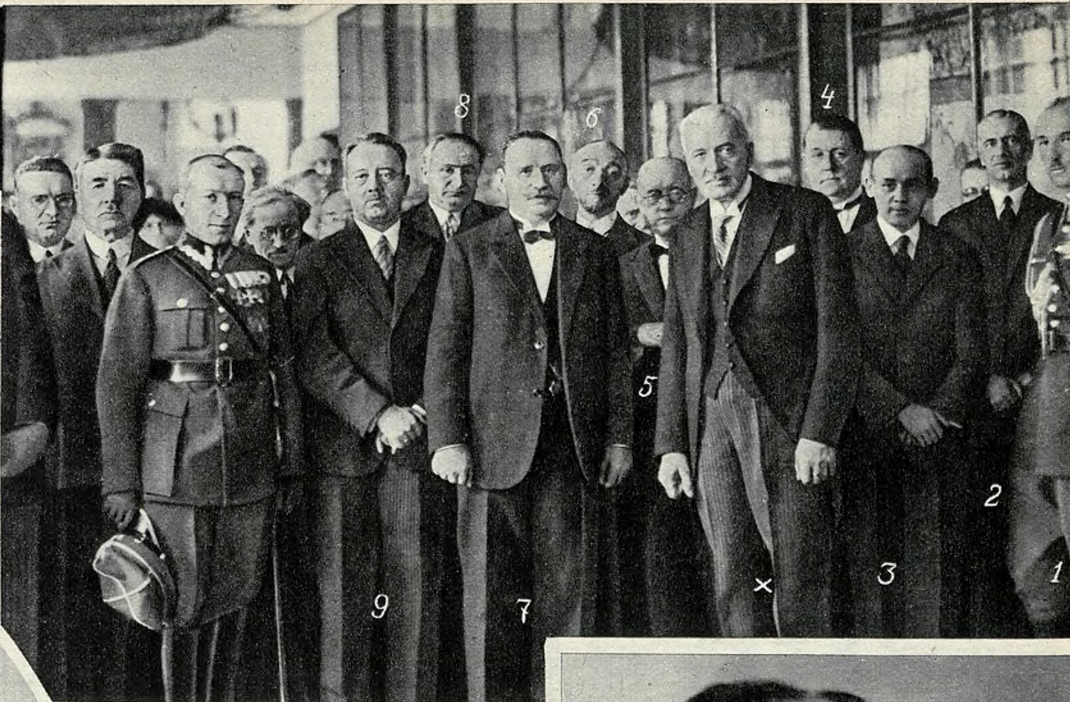
Ag. fot. „Światowida".

Poniżej: **Mecz bokserski Poznań—Warszawa.** Odbył się w Warszawie w ub. niedzielę i zakończył zwycięstwem gospodarzy w stosunku 10:6. Zdjęcie przedstawia drużynę poznańską.

R. Walter — Warszawa.

**Słynna piosenkarka Czytelnikom „Światowida".** Dela Lipińska, której występy w Polsce cieszyły się wielkiem powodzeniem, wyjechała obecnie na tournée artystyczne do Węgier, skąd przesyła pozdrowienia naszym Czytelnikom. Jej kreacje estradowe, w których wyczarowuje z piosenek obrazy pełne życia i napięcia dramatycznego, budzą zachwyt wśród publiczności wielkich środowisk Europy.



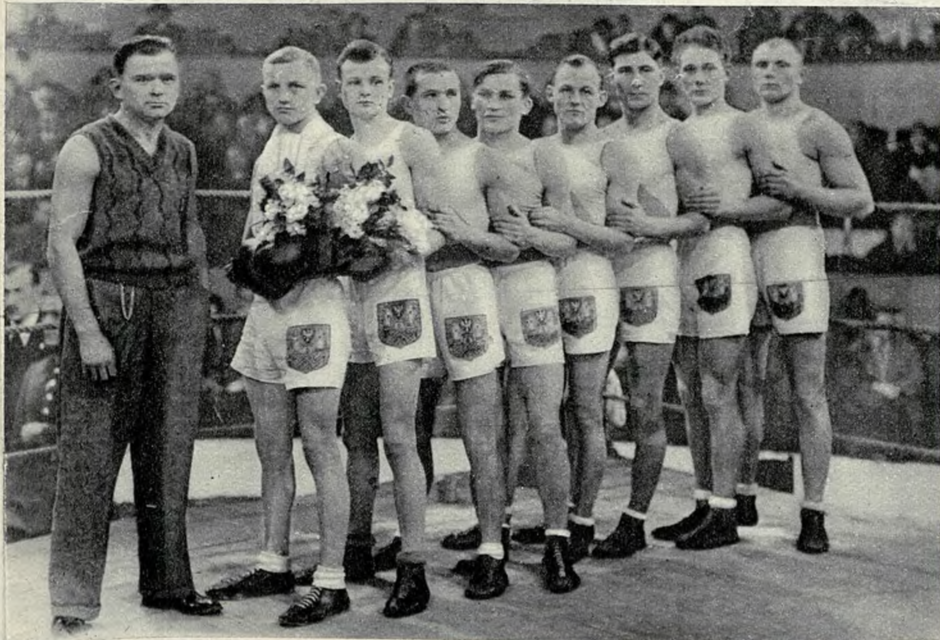



**Otwarcie części Muzeum Narodowego w Warszawie.** Dnia 14 b. m. w obecności P. Prezydenta R. P., członków Rządu, Korpusu Dyplomatycznego, przedstawicieli władz samorządowych z p. prez. Słomińskim na czele, nastąpiło uroczyste poświęcenie i otwarcie działu sztuki zdobniczej w nowowybudowanym gmachu Muzeum Narodowego. Aktu poświęcenia dokonał J. E. ks. kard. Kakowski. Na zdjęciu P. Prezydent R. P. (x) w otoczeniu przedstawicieli dyplomacji, władz miejskich i t. d. Widoczni: szef kanc. wojsk. Prez. R. P. płk. Głogowski (1), marszałek Senatu Wł. Raczkiewicz (2), min. W. R. i O. P. Jędrzejewicz (3), poseł belgijski de l'Escaille (4), ambasador Francji Laroche (5), poseł bułgarski Roboeff (6), dyr. Muzeum Narodowego prof. Gembarzewski (7), poseł jugosłowiański Lazarewicz (8), prez. miasta inż. Słomiński (9) i inni.



Obok: **Z Wydziału Sztuki.** — Naczelnikiem nowoutworzonego Wydziału Sztuki Ministerstwa W. R. i O. P. został zamianowany wybitny teatrolog dr. Władysław Zawistowski (na zdjęciu), autor szeregu cennych prac z dziedziny krytyki literackiej. Wydział Sztuki został utworzony przed kilku miesiącami po zniesieniu Departamentu Sztuki. W r. 1919—1922 sprawy sztuki i literatury podlegały specjalnemu ministerstwu. Pierwszym ministrem sztuki był p. Medard Downarowicz, po nim nastąpili kolejno znany poeta Mirjam Przesmycki i architekt śp. Heurich, jako podsekretarz stanu. Po likwidacji ministerstwa w r. 1922 kierownictwo departamentu objął ś. p. Juljan Fałat, a po nim pp. Skotnicki, Jastrzębowski, Skoczylas i Wojciechowski.

Ag. Fot. „Światowida".





**Polak prezesem Międzynarodowej Konfederacji Studentów.** W okresie feryj świątecznych odbył się w Kopenhadze Zjazd Międzynarodowej Konfederacji Studentów. Na zebraniu tem przewodniczył p. Pożaryski (pierwszy od lewej), prezes C. I. E. Organizacja ta liczy około miljona młodzieży akademickiej z całego świata.






Obok: **Wspaniały dar dla Wawelu.** Znakomity artysta-rzeźbiarz, twórca sarkofagów wawelskich Jadwigi i Warneńczyka p. Antoni Madejski, przebywający stale w Rzymie, ofiarował do jednej z sal odnowionego Zamku królewskiego na Wawelu płaskorzeźbę z marmuru kararyjskiego przedstawiającą popiersie króla Stefana Batorego (na zdjęciu) w naturalnej wielkości. Portret ten rzeźbiony oparty jest o najlepszy z istniejących wizerunków współczesnych króla, a mianowicie o minjaturę, znajdującą się w galerji Pitti we Florencji.

## Konikówka.

oł. M. Waksmundzka — Jasło, czł. Warsz. Kl. Szar.




Za rozwiązanie powyższej konikówki redakcja „Swiatowida“ przeznacza

**trzy nagrody.**

**Pierwsza zł. 40, druga zł. 25, trzecia zł. 15.**

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 30-go stycznia 1932 wraz z załączonym kuponem.

## Rozwiązanie z Nr. 53

A.

„Fortuna kołem się toczy —
Szczęście w naszej mocy“.

B.

„Szczęścia, zdrowia, powodzenia
I wszelkiego odrodzenia
I na ciele i na duszy
Bo już koniec wnet katuszy“.

### Gdy taksator w zakładzie zastawniczym jest krótkowidzem.



*Taksator: Tego futra nie przyjmiemy, stare i zjedzone przez mole.*



## Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 53 nadesłali:

Jurko z Królewszczyzny; Halina z Królewszczyzny; Stan. Mucha, Kraków; Leok. Galewiczówna, Ozorków; L. Perlberger, Przemyśl; L. Świerczyński, Lwów; K. Puchowicz, Warszawa; D. Herbstmanówna, Warszawa; E. Sternlicht, Kraków; L. Bronner, Kraków; Bez nazwiska, Poznań; Cz. Kowalska, Warszawa; J. Maziarz, Ozorków; A. Świda, Warszawa; Ir. Lewicka, Lwów; B. Kociuba, Drohobycz; Jadwiga Chęcińska, Lwów; **L. Osiecki, Lwów-Lewandówka (zł. 40.—);** M. Ł., Lwów; M. Zapiór, Kraków; M. Jackowska, Borysław; L. Jaworzyńska, Kraków; B. Morgenbesser, Łoszniów; M. Lambachowa, Lublin; Z. Boulange, Baczków; H. Kowalska, Łódź; R. Osowska, Bydgoszcz; A. Rotter, Kraków; Stan. Mikowska, Warszawa; Z. Tietz, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; T. Kretkowski, Warszawa; pchor. P. Ładorew, Bydgoszcz; Włodz. Świerczewski, Kraków; „Bezrobotny pracownik umysłowy“; „Wilnianka“; „Maryśka z Pohulanki“; Z. Pieracki, Wilno; Z. i M. Kacelenbogen, Łomża; Cz. Kalitowski, Kraków; J. Rogowski, Warszawa; W. Kortylewicz, Poznań; M. Waksmundzka, Jasło; Wład. Gajowa, Poznań; **H. Leśniewska, Warszawa (zł. 25.—);** Ks. L. Klementowski, Tarnopol; A. Wilczkówna, Limanowa; S. Kowalski, Pińczów; S. Wachtel, Tarnów, L. Dobrowolska, Toruń; L. Domański, Kowel; A. Hauschildowa, Nowy Targ; Al. Pertkiewiczówna, Częstochowa; H. Tomahek, Lublin; J. Jurkiewicz, Lwów; Ir. Muszyna, Kraków; W. Tyblewski, Poznań; A. Samytowa, Poznań; Z. Magierzanka, Toruń; Wład. Góral, Kraków; „Alila“, Warszawa; Edm. Trzoska, Poznań; Jan Grzęda, Gniezno; **Helena Kornaszewska, Łask koło Łodzi (zł. 15.—).**

### Malutkie nieporozumienie.



*— Rany Boskie! Uciekajmy! Lawina idzie!*
*— To nie lawina, to mój wujek trenuje.*

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Osieckiego, Lwów-Lewandówka (zł. 40.—), H. Leśniewską, Warszawa (zł. 25.—) i Helenę Kornaszewską, Łask (zł. 15.—).

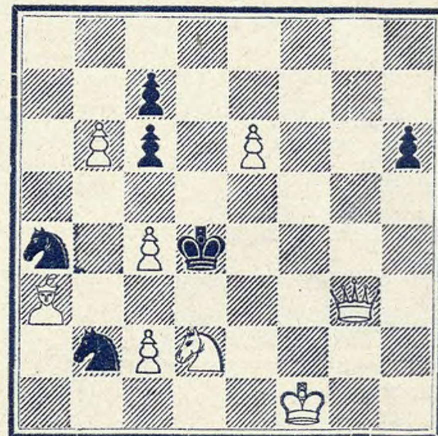
Redakcja „Światowida“ wyżej wymienionym prześle gotówkę niebawem.

## Dział szachowy

### pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

A. Kubbel („Szachm. Listok“ 1931).

Czarne: Kd4, Sa4b2, piony: c6, c7, h6 (6).



**Białe:** Kf1, Hg3, Ga3, Sd2, piony: b6, c2, c4, e6 (8).
**3-chodówka: 8+6=14.**
**Mat w 3 posunięciach.**

**Rozwiązanie 3-chodówki A. Kubbela: 1. G—e7!**

**I.** 1... S—c3 2. H—f2+ i 3×.
**II.** 1... S×b6 2. G—f6+ i 3×.
**III.** 1... S×c4 2. H—d3+ i 3×.
**IV.** 1... h5 2. H—g7+ i 3×.

### PARTJA.

Białe: **Czechower** — Czarne: **Trawin**

**grana w turnieju o mistrzostwo Leningradu w roku 1931.**

**Pionem hetmana (gamb. Wagnera).**

| | |
|---|---|
| 1. d4 S—f6 | 18. b6 0—0 **(9)** |
| 2. S—f3 e6 | 19. W—b3 H—c5 |
| 3. G—g5 c5 | 20. Se—f5! e×f5 |
| 4. e4 c×d4 | 21. Sd×f5 Wf—e8 |
| 5. Gd3 **(1)** S—c6 | 22. H—h5 G—f8 **(10)** |
| 6. 0—0 H—b6 **(2)** | 23. W—h3 h6 |
| 7. Sb—d2 d6 | 24. S×h6+ G×h6 |
| 8. c3 d×c3 **(3)** | 25. H×h6 S—g6 |
| 9. b×c3 G—e1 | 26. e5! f5 **(11)** |
| 10. G—c2 **(4)** H—c7 **(5)** | 27. G×f5 H×e5 |
| 11. S—c4 b5? **(6)** | 28. G×g6! f×g6 **(12)** |
| 12. G×f6! g×f6 | 29. H—h 7+ Kf8 |
| 13. S—e3 G—b7 **(7)** | 20. H×b7 H—e7 **(13)** |
| 14. Wa—b1 a6 | 31. W—h8+ K—g7 |
| 15. a4 S—e5 | 32. H×e1+ **Czarne poddały się.** |
| 16. S—d4 H×c3 **(8)** | |
| 17. a×b5 a5 | |

**UWAGI:**

**(1)** Po 5. H×d4 S—c6 6. H—a4 H—b6 7. G×f6 jak w partji Wagner—Ahues Czarne uzyskały przewagę pozycyjną. Jeżeli zaś 5. e5 to h6! Posunięcie w partji ofiarowuje piona za rozwój figur.

**(2)** Ten wypad hetmana celem dalszych zdobyczy nie jest dla Czarnych korzystnym. Powinno nastąpić 6... d6 poczem G—e7, 0—0 etc.

**(3)** Do przegranej prowadziło 8... **H×b2 9. S—c4 H×c3 10. W—b1!** (a nie 10. W—c1? H—b4 11. W—b1 H—c5 12. W—b5 H×b5 13. S×d6+ G×d6 14. G×b5 0—0) **S—a5 11. W—c1! H—b4 12. G—d2 H—c5 13. S×a5.**

**(4)** Białe napierają na pole d6.

**(5)** Najspokojniejszą i najlepszą odpowiedzią była 10... 0—0.

**(6)** 11... 0—0! należało grać. Posunięcie w partji osłabia skrzydło hetmana i króla.

**(7)** Nieco korzystniejszem było 13... G—d7, rezerwując linję b dla wież.

**(8)** Ruch ten do reszty psuje pozycję Czarnych.

**(9)** Groziło 18. G—a4+ i 18. S—b5 poczem S—c7.

**(10)** Jeśli 22... S—g6 to 23. W—h3 S—f8 24. H—h6 z wygraną.

**(11)** Nie 26... H×c2? z powodu 27. e×f6 i mat na g7.

**(12)** Czarne mogły się bronić dłużej, grając **28... H—g7,** wprawdzie i potem: **29. G—h7+ K—h8 30. G—d3+** (30. G—e4+? H×h6 31. W×h6+ K—g7 32. W—h7+ K—g8 etc.) **H×h6 31. W×h6+ K—g7 32. W×d6.** Końcówka była przegraną dla Białych.

**(13)** Groziło 31. W—f3+ K—g8 32. H—f7+ K—h8 33. W—h3+.

Jeżeli 30... K—g8 to 31. H—h7+ poczem 32. W—f3+.




ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65. Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65. Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus“) — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus“), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

# TEN, KTÓRY PRZEPOWIEDZIAŁ
## WYROK W PROCESIE BRZESKIM.



W związku z procesem brzeskim głośnem się stało nazwisko inż. Ossowieckiego, najsłynniejszego jasnowidza polskiego, mieszkającego stale w Warszawie.

Inż. Ossowiecki jest fenomenem w swoim rodzaju. Przeczucia jego prawie zawsze sprawdzają się. Głośnym np. był w swoim czasie wypadek, gdy potrafił on zrozpaczonej matce, która straciła na wojnie swego syna, wskazać grób zaginionego i osoby, które mogą udzielić o jego śmierci bliższych szczegółów.

Innym razem znowu Ossowiecki opisał najdokładniej pokój pewnego uczonego w Madrycie, z którym robił doświadczenia, pomimo, iż w mieszkaniu jego nigdy nie był.

Jeszcze głośniejszym był raz wypadek, gdy Ossowiecki siedząc w kawiarni, podszedł do pewnego oficera rozbawionego i śmiejącego się i radził mu, aby udał się do domu i uważał na siebie, gdyż widzi koło niego śmierć. Zagadnięty początkowo rozgniewał się, usłyszawszy takie słowa, ale gdy inż. Ossowiecki przedstawił mu się, natychmiast usłuchał jego rady i opuścił lokal. Przewidywania jasnowidza sprawdziły się, jeszcze tego samego dnia oficer ów zginął wskutek nieszczęśliwego wypadku.

Ostatnio inż. Ossowiecki złożył w zapieczętowanej kopercie przypuszczalne brzmienie wyroku w procesie brzeskim, jeszcze przed jego ogłoszeniem, w najogólniejszych zarysach przepowiadając go z całą dokładnością.

*Na lewo: Inż. Ossowiecki w swoim gabinecie. Zdjęcie wykonane specjalnie dla „Światowida" przed kilku dniami.*

# POLSKA SZTUKA W BUFFALO W STANACH ZJEDN. A. P.

Po raz pierwszy w dziejach przepięknego gmachu z białego kamienia, wzniesionego w uroczym zakątku parku, nad taflą stawu — w Pałacu Sztuki w Buffalo (Albright Art Galery) urządzona została w grudniu ub. r. Wystawa sztuki polskiej.

Złożyły się na nią drzeworyty (94 dzieł), które tam nadeszły z Wystawy w National Galery of Canada w Ottawie, 45 obrazów, będących w posiadaniu Polaków, zamieszkałych w Bufallo, jakoteż w osobnych salach druki polskie, wyroby przemysłu ludowego, kilimy, porcelana etc.

Wśród rytowników znajdujemy m. i. nazwiska E. Bartłomiejczyka, S. Chrostowskiego, T. Cieślewskiego, E. Czerwińskiego, W. Goryńskiej, M. Gutkowskiej, E. Jabłczyńskiego, B. Krasnodębskiej-Gardowskiej, K. Mondrala, F. Siedleckiego, W. Skoczylasa, Z. Stankiewiczówney, wśród malarzy — Axentowicza, Wodzinowskiego, Kossaków, Stachiewicza, Filipkiewicza, Winterowskiego i w. i.

Podkreślić tu należy gotowość Polonji buffalowskiej, z jaką pospieszyła, aby wzbogacić i uświetnić wystawę dziełami sztuki polskiej, pozostającemi w jej posiadaniu. Wśród tych depozytarjuszy widzimy cały kwiat nieomal tamtejszego patrjotycznego obywatelstwa polskiego, że wymienimy zasłużonych wydawców „Dziennika dla Wszystkich" pp. A. i J. Ruszkiewiczów, szeroko znanego w Polsce tamt. lekarza i działacza Dra Fronczaka, radcę miejskiego Wylegałę, drostwa Pawłowskich, SS. Felicjanki, skrzypka J. Wolanka i wielu, wielu innych.

Zasługę urządzenia tej wystawy należy przypisać w pierwszym rzędzie dyrektorowi Galerji p. B. G. Washburn'owi, który też napisał sympatyczny wstęp do pięknie wydanego Katalogu Wystawy, wicekonsulowi T. Buynowskiemu, p. J. Ruszkiewiczowi i innym gorliwym propagatorom sztuki polskiej na Wychodźtwie.

Szczególnie zgrabnem rozmieszczeniem eksponatów zajęła się p. Nora Christensen.

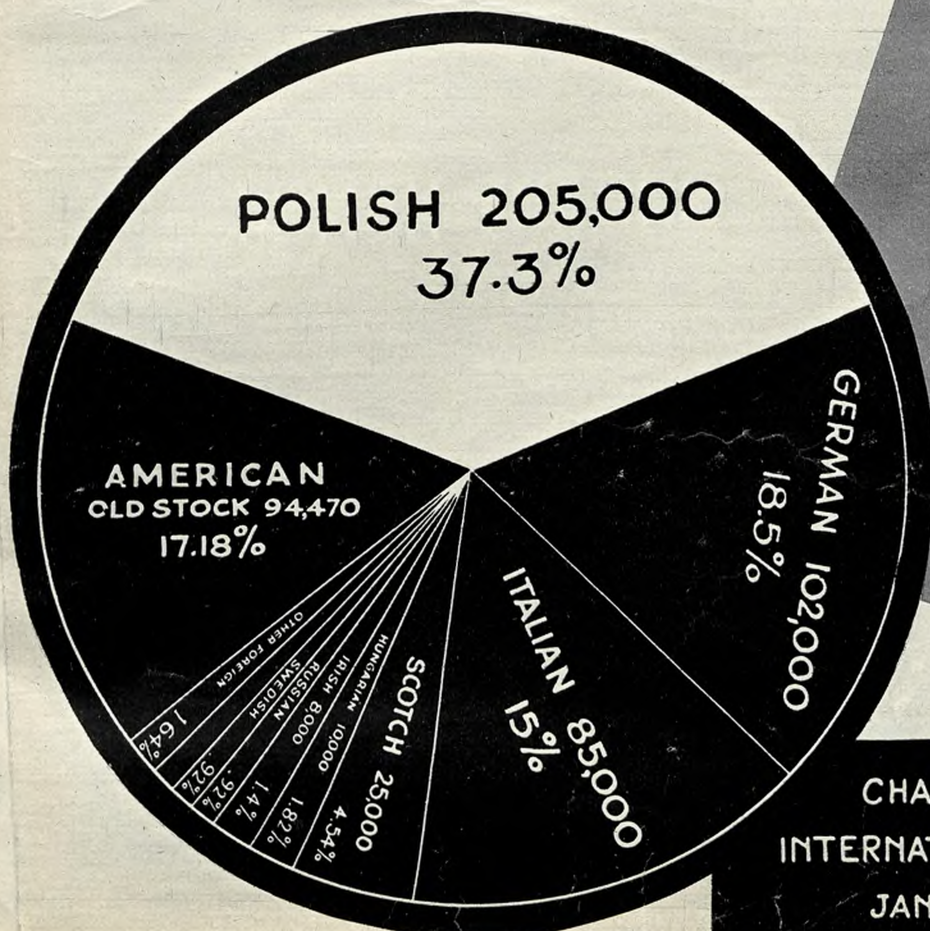
Otwarcie wystawy odbyło się uroczyście, zwiedzały ją tłumy, a echa jej w prasie były bardzo sympatyczne. M. i. wielki organ buffalowski „Courier Express" poświęcił całą stronę swego niedzielnego dodatku rotograwiurowego reprodukcjom z wystawy, pisał o niej oczywiście obszernie tamtejszy „Dziennik dla Wszystkich", a wicekonsul Buynowski wygłosił na jej temat odczyt po angielsku.

Wielkie powodzenie Wystawy jest dobrym sprawdzianem patrjotycznych uczuć całej Polonji bufallowskiej i zarazem wymiarem jej znaczenia, jakie odgrywa w tem blisko miljonowem mieście, gdzie tworzy prawie 40% ludności (dokładnie 37.3%) i gdzie zatem co trzeci mieszkaniec jest Polakiem. Polskość tego miasta tem silniej się uwydatnia, że Polacy tamtejsi, jak zresztą i w innych wielkich miastach Stanów Zjednoczonych, nie są rozproszeni po wszystkich dzielnicach, lecz zgrupowani w skupieniach zwartych, ze swemi kościołami, szkołami, bankami, sklepami — tworząc niejako miasto w mieście, gdzie język polski rozlega się powszechnie i jest nieomal językiem panującym.

*U dołu: Mało są nam znane liczebność i siła żywiołu polskiego w Stanach Zjedn. A. P. Podajemy tutaj wykres statystyczny ludności m. Buffalo, które należy do miast o najsilniejszem zaludnieniu polskiem. Wykres unaocznia, że blisko 40% — dokładnie 37·3% ludności tego miasta tworzą Polacy. Razem jest ich 205.000.*




*Na lewo: Tytułowa strona pięknie wydanego w języku angielskim Katalogu Wystawy sztuki polskiej w Buffalo.*



# „CZAR WALCA".



*W operetce „Nowości" w Warszawie wielkiem powodzeniem cieszy się „Czar walca". W sztuce tej jedną z głównych ról kreuje b. artystka opery p. Janina Rewicz-Sowilska (na zdjęciu) odznaczająca się wybitną urodą.*

„Van Dyck" — Warszawa.